Edmond Hamilton

Kosmiczni grabieżcy

(The Cosmic Looters)

Imagination, February 1958
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ I

Duncan Wyatt zerwał się, chwycił pistolet i ruszył w stronę drzwi, zanim jeszcze dobrze otworzył oczy. W uszach dzwonił mu huk eksplozji, który go obudził, a zbudowana z prefabrykatów chata, ciągle jeszcze drżała od wstrząsu fali uderzeniowej.

Myślał, że rozpoczęła się trzecia wojna światowa.

Przykucnął w drzwiach i wyjrzał na płaskowyż. Nieortodoksyjny kształt eksperymentalnego nadajnika o ultra wąskiej wiązce, majaczył nad nim czarną sylwetką na tle rozjarzonego gwiazdami nieba Nowego Meksyku. Miał on nawet swoją własną czerwoną gwiazdkę, aby ostrzegała nisko przelatujące samoloty. Był tutaj zupełnie sam. Jego partner, Bannister, poleciał na Wybrzeże, aby nadzorować wytwarzanie nowych komponentów do projektowanego ulepszenia konstrukcji nadajnika. Wyatt nigdy wcześniej nie czuł się samotny, nawet pomimo zupełnego odosobnienia panującego na wierzchołku płaskowyżu, na którym nie było niczego poza bezosobowym niebem i pustynią, słońcem oraz wiatrem. Teraz jednak, czuł się samotny i wystraszony. Zastanawiał się, gdzie spadła bomba.

Niczego nie mógł dostrzec, więc wyszedł na zewnątrz i skręcił za róg chaty, trzymając się blisko ziemi i mocno przytulając się do ściany.

Teraz był w stanie ogarnąć wzrokiem większy fragment płaskowyżu, delikatnie, ale prawie dostatecznie, oświetlony przez miliard gwiazd jaśniejących w krystalicznie czystym powietrzu.

Zobaczył to coś, cokolwiek by to nie było, co spadło z nieba.

To nie była bomba. To był… samolot? Powiedzmy, że to był samolot. Można to było określić skrzydlatym pojazdem wirnikowym. Jakkolwiek by to coś nie nazwać, stało tam, okrągłe i lekko lśniące na tle szarej, ponurej skały. Huk i wstrząs, które poderwały go z pryczy, musiały być skutkiem tego, że pojazd wyszedł z ostrego nurkowania z ponaddźwiękową prędkością.

Powinien poczuć ulgę, że chodziło o to. W jakiś sposób jednak, Wyatt jej nie czuł. Miał pewne przeczucia. To były tak szalone przeczucia, że nie potrafił w nie uwierzyć, ale też nie mógł się ich pozbyć.

Stał nieruchomo w cieniu narożnika chaty i czekał, co będzie dalej.

Nagle zapaliło się oślepiające światło, wypływające ze środkowej części dziwnego samolotu. Ujrzał w nim każdy kamyk i skarłowaciały krzaczek, każdą drobinkę skały, nadgryzioną przez słońce ścianę z prefabrykatu, samego siebie w skarpetkach i wymiętoszonych spodniach khaki, stojącego z pistoletem w dłoni.

Część czarnego zewnętrznego pierścienia wokół okrągłego samolotu opadła w dół i rozwinęła się w schodki.

Wyatt zawołał:

— Co to jest? Kim jesteście? — Jego głos brzmiał cienko i słabo w tym bezmiarze podszytego wiatrem powietrza. — Mam broń — krzyknął. — Wychodźcie powoli, z podniesionymi rękami!

Jego słowa brzmiały absurdalnie, nawet kiedy je wypowiadał. Ale musiał wyznaczyć sobie jakąś linię, po prostu dlatego, że się bał. Gdyby tego nie zrobił, pozostałoby mu tylko odwrócić się i uciec.

To był cholernie dziwnie wyglądający, okrągły samolot. Wyatt od stóp do głów zlany był zimnym potem, czekając na coś, co z niego wyjdzie.

Kiedy to zobaczył, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Stała w otworze znajdującym się na szczycie wąskich metalowych schodów. Ręce miała lekko uniesione, żeby mógł się upewnić, że nie trzyma w nich żadnej broni. Pomyślał, że musi się lekko uśmiechać. Miała czarne włosy, czarne jak najczarniejszy cień, jaki można było sobie wyobrazić, obcięte krótko przy głowie. Miała na sobie czarne, miękkie buty, obcisłe spodnie, szeroki pasek z kaburą, surową, prostą koszulę ze złotymi plamami na przedzie obu ramion. W jakiś sposób wyczuł, że te złote plamy to insygnia, a nie ozdoby. Wyczuł też – na podstawie czegoś co związane było z tym jak stała, ze sposobem w jaki na niego patrzyła, z twardą, zdyscyplinowaną siłą, która kryła się za wspaniałymi liniami jej ciała – że ta kobieta nie była podobna do żadnej z kobiet, które kiedykolwiek znał, i że prawdopodobnie z trzecią wojną światową łatwiej byłoby sobie poradzić niż z nią.

Powiedziała:

— Nie ma potrzeby się bać.

Jej angielski brzmiał, jakby nauczyła się go przy pomocy wzoru matematycznego, i to w pośpiechu.

Wyatt odparł nieszczerze:

— Nie boję się. Po prostu jestem ostrożny.

Podszedł bliżej do dyskokształtnego samolotu. Skała płaskowyżu pod jego skarpetami była lodowata, wiatr wiał mu lodowatym zimnem po plecach, a we wnętrzu jego ciała panował już czysto osobisty chłód.

— Skąd przybywasz? — spytał. — Czego chcesz?

Opuściła ręce i szybko zeszła po schodkach, najwyraźniej zadowolona, że Wyatt nie zamierza do niej strzelać.

— Nie mam dużo czasu — powiedziała. Jej oczy były koloru czystego turkusu, zaskakująco jasne, dziwnie ukośne. Rzuciła krótkie spojrzenie w niebo, a następnie szybko przemówiła do Wyatta. — Spróbuj zrozumieć, uwierzyć mi. Twój świat zostanie zaatakowany. Nie dzisiejszej nocy, ale w niedługim czasie. Chcę, abyś ostrzegł swój rząd, abyście byli przygotowani, kiedy nadejdzie atak.

— Rozumiem — odparł Wyatt.

Czuł szaloną ochotę parsknięcia śmiechem. Już to widział, jak udaje się do Waszyngtonu i opowiada różnym osobistościom w Białym Domu i Pentagonie, że piękna dziewczyna wylądowała zabawnym okrągłym statkiem i przekazała mu informacje, iż Ziemia zostanie zaatakowana, a więc powinni postawić siły zbrojne w gotowości.

— Najpierw by mnie zastrzelili — mruknął — a potem wrzucili do miękko wyściełanej celi. — Podszedł bliżej do dziewczyny. Jej twarz była

ładna, doskonale ludzka i jednocześnie całkowicie obca. To nie była delikatna twarz. Przyzwyczajona do decydowania i wydawania rozkazów. Pomyślał sobie, że te czerwone usta nigdy się nie nadąsają ani nie będą wyglądały na rozdrażnione, ale łatwo mogą stać się okrutne. — Kto ma zaatakować Ziemię? I kim ty jesteś?

Oznajmiła niecierpliwie:

— Nie ma znaczenia, kim jestem. Ważniejsze jest to, że mogę wiedzieć, co mówię. Posłuchaj. W kosmosie, w pobliżu, znajduje się ogromna międzygwiezdna grupa bojowa, przemieszczająca się przez ten sektor galaktyki i plądrująca wszystko co się da. Te obszary na skraju galaktyki, są położone zbyt daleko od centrum naszej potęgi, w Uryx – systemie gwiezdnym, o którym nigdy nawet nie słyszałeś – aby podbój na stałe był praktycznym rozwiązaniem, a więc wszystko co nas interesuje, to łupy. Nasi wysunięci zwiadowcy poruszają się daleko przed głównymi siłami. My, zwiadowcy, byliśmy tutaj już wcześniej. Ja byłam tutaj już wcześniej. Ostrzegam was. Kiedy do nich wrócę, nasze siły główne będą na Alfa Centauri. Kiedy skończą tam, następna będzie Ziemia.

— Nie wierzę ci — stwierdził Wyatt. Ale wbrew sobie, jednak wierzył.

Był teraz blisko podnóża schodków, tak blisko, że prawie mógłby dotknąć wysokiej, szczupłej dziewczyny o czarnych włosach owiewających jej czoło i błyszczących, czujnych oczach. Dziwny statek majaczył nad nimi obojgiem. Wyatt popatrzył na niego, wzdrygnął się i przygryzł wargę.

— Dlaczego mnie ostrzegasz? — nagle zapytał. — Jesteś żołnierzem tych sił. Dlaczego chcesz je zdradzić?

— Mam swoje powody — odparła — i to całkiem dobre. Ale ty ich nie zrozumiesz. W każdym razie, ostrzeżenie jest prawdziwe. Nie kwestionuj moich słów.

Zaczęła się od niego odsuwać, wchodząc wyżej po metalowych stopniach.

— Zaczekaj — powiedział Wyatt. — Nikt na świecie nie będzie mnie słuchał, jeśli opowiem im tę historię. Pomyślą po prostu, że zwariowałem. Posłuchaj, jeśli naprawdę chcesz, aby twoje ostrzeżenie zostało potraktowane poważnie, będziesz musiała sama polecieć do Waszyngtonu.

— To niemożliwe — oznajmiła krótko.

Znowu ruszyła w górę po schodkach i znowu ją zatrzymał.

— Nie — powiedział, zdając już sobie sprawę z tego, że nie może pozwolić jej uciec.

Jakkolwiek szaleńczo nieprawdopodobne, żeby nie powiedzieć wprost – szalone, było to wszystko, ona była prawdziwa, jej statek był prawdziwy, i ludzie mądrzejsi od niego powinni zostać obciążeni odpowiedzialnością za poradzenie sobie z tą rzeczywistością.

— Ty i ja, nawet razem, nie dalibyśmy rady nikogo przekonać zwykłą gadaniną — stwierdził. — Jedyną rzeczą, która mogłaby tutaj pomóc, jest twój statek. Ten pojazd nie mógł zostać zbudowany na Ziemi i oni by o tym wiedzieli. Mogliby go przebadać, sprawdzić, udowodnić, że nie jest on żadną podróbką, ani mistyfikacją. A i tak, przekonanie kogokolwiek będzie trudne – nie masz pojęcia, jak bardzo trudne.

Wszedł na najniższy stopień schodów.

— Musisz polecieć tym czymś do Waszyngtonu.

— Mówiłam ci, że to jest niemożliwe — odparła. — Przekazałam wam ostrzeżenie; będziesz musiał zrobić z nim, co w twojej mocy. Odsuń się!

Odwróciła się do niego plecami i lekko wskoczyła przez otwór wejściowy do statku.

Wyatt nie przestawał myśleć. Pobiegł za nią po schodkach, które zaczęły się podnosić, zwijając mu się pod stopami, tak że myślał już, iż będzie musiał zeskoczyć albo zostanie zmiażdżony. Wewnątrz statku rozległo się wycie generatorów energii. Niech to szlag, pomyślał Wyatt, nie obchodzi jej, czy mnie zabije. Gorączkowo wdrapywał się po przechylających się i wypłaszczających szczeblach, w końcu złapał za krawędź otworu i przeciągnął przez niego głową naprzód.

Panel, który zasuwał się, aby uszczelnić otwór, pochwycił go w połowie tego ruchu i zacisnął w bolesnym uścisku. Krzyknął z bólu i strachu przed przecięciem na pół. Przed sobą widział teraz okrągły kokpit, a kobieta w czarnym mundurze zatrzymała się w trakcie siadania za sterami, a jej zaskoczona twarz zwróciła się w jego stronę.

Potem na jej twarzy pojawiła się wyrazista irytacja. Jej ręka przesunęła się w kierunku broni wiszącej u boku. W tej samej chwili zadzwonił dzwonek ostrzegawczy i przesuwny panel automatycznie otworzył się z powrotem. Wyatt wcisnął się do końca, chory i oszołomiony, ale wiedząc, że to nie jest czas na zajmowanie się swoim bólem. Bał się strzelać z pistoletu, który wciąż trzymał w dłoni, nawet żeby ją tylko zastraszyć. Kokpit był mały i wyłożony metalem. Rykoszetująca kula mogła zabić jedno z nich lub nawet oboje, albo też uszkodzić panel ze sterami, tak że statek nie będzie w stanie latać. Zamiast tego rzucił w nią pistoletem. Przeleciał jej koło głowy, na tyle blisko by musnąć jej włosy, a kiedy była zajęta uchylaniem się przed nim, przebiegł przez malutką metalową podłogę i szczepił się z nią.

Nie krzyczała, nie drapała mu twarzy, nie wyrywała mu włosów, ani nie robiła niczego, co zwykle robią kobiety. Walczyła, i była silna jak sprężynująca stal. Złapał ją za nadgarstek, żeby nie mogła sięgnąć do broni za pasem, ale jej wolna pięść strzeliła mu pod brodę i sprawiła, że zobaczył wszystkie gwiazdy. Potem trafiła go kolanem w brzuch. Wszystkie ideały rycerskości, opuściły Wyatta. Puścił jej nadgarstek i zaryzykował, że uda mu się ją znokautować, zanim zdąży wyciągnąć z kabury broń, jakakolwiek by ona nie była.

Zwyciężył, ale ze wstydliwie niewielkim marginesem. Osunęła się na podłogę, a on sam chwycił jej broń, a potem odzyskał swój pistolet i stał ciężko dysząc, czując drżenie w kolanach.

Otrząsnęła głowę, chrząknęła, popatrzyła na niego płonącymi oczami i podniosła się, gotowa do dalszej walki i zabicia go.

Wycelował w nią jej własną broń i swój pistolet, używając obu rąk.

— Mój zabija — oznajmił. — Nie wiem, jak działa twój, ale ty wiesz. — Wskazał na siedzenie pilota. — Siadaj. Lecimy do Waszyngtonu.

Posłała mu zły uśmiech, z krawędzią ostrych zębów, i zrobiła co jej kazał.

ROZDZIAŁ II

Obok pilota znajdowały się miejsca dla czterech osób, rozmieszczone wokół okrągłego kokpitu. Wyatt przypiął się pasami do siedzenia najbliżej dziewczyny. Wyobrażał sobie, że start będzie czymś wyjątkowym i był na to przygotowany, ale to niemal natychmiastowe przejście ze stanu nieruchomego spoczynku na ziemi, do stanu lotu prosto w niebo z piekielną szybkością, było trudne do przyjęcia. Wbił jej pistolet w plecy, między ramionami, i powiedział:

— Nie za wysoko. Nie lecimy na Alfę Centauri.

— Jest coś takiego jak komercyjne linie lotnicze — odparła zirytowana — i wojskowe bazy powietrzne, instalacje radarowe oraz pociski ziemia-powietrze. Nawet na tym statku nie mogę zagwarantować, że uniknę wszystkich tych niebezpieczeństw.

Wyatt zastanowił się nad tym, z niepokojem zdając sobie sprawę, że jego broń obecnie jest w znacznej mierze blefem. Raczej nie mógł użyć jej przeciwko niej, chyba że chciał znaleźć się na ziemi dużo szybciej, niż wzbijał się w górę, a ona o tym wiedziała. Oznajmił:

— W porządku, przeleć górą nad całym tym bałaganem, ale nie próbuj niczego zbyt cwanego. Jestem całkiem niezłym pilotem i mógłbym sam zaryzykować lot tym statkiem.

To było beznadziejne kłamstwo, ale pomyślał, że warto spróbować.

Dziewczyna nie wykazywała zainteresowania jego słowami, w żaden widoczny sposób. Statek leciał dalej prosto w górę, z ostrym świstem, a następnie z zaskakującą delikatnością wykonał skręt i skierował się na wschód. Wyatt wyjrzał przez znajdujące się obok niego małe, podwójnie uszczelnione okienko.

Gwiazdy go oślepiły. Przestały migotać, rozrosły się i rozmnożyły. Niebo nie było już płaskie, lecz głębokie i nieskończone, tak że nawet niezliczona liczba gwiazd nie sprawiała na nim wrażenia natłoku. Daleko w dole znajdowała się ciemna, pomarszczona skórka, jak brzeg kręgu sera. Wyatt wiedział, że to jest Ziemia.

Był to najwspanialszy widok, jaki kiedykolwiek oglądał, i bardzo żałował, że go widzi. To był ostatni element szalonej nowej rzeczywistości, który sprawiał, że cały ten obłędny koszmar nabierał cech spójności.

— Ja tylko sobie tam siedziałem, zajmując się swoimi sprawami — oznajmił gorzko Wyatt, odwracając się od okna. — Dlaczego musiałeś się mnie uczepić?

— Widać było, że jesteś inżynierem, a zrozumienie tego co miałam ci do powiedzenia, wymagało technicznego sposobu myślenia. Inni wydają się nie wierzyć, nawet kiedy mogą coś zobaczyć na własne oczy.

— Inni? — zapytał Wyatt zaskoczony nową myślą.

— Oczywiście. A jak myślisz, że w jaki sposób planujemy nasze ataki? Jak niby mielibyśmy się dowiedzieć o tych wszystkich rzeczach, które musimy poznać, na przykład dostatecznie dobrą znajomość języka aby móc porozumiewać się z ludźmi po inwazji? Przy normalnym rozwoju wypadków, byłbyś uważany za szczególnie cenne znalezisko. Inni dostępni ludzie, byli pasterzami zwierząt, rybakami, członkami prymitywnych plemion lub biednymi wędrowcami, którzy nie potrafili wyjawić nam niczego poza własnym językiem i tym jak się nazywają.

— Chciałaś powiedzieć — odparł Wyatt — że gdybyś nie zdecydowała się przekazać nam ostrzeżenia, porwałbyś mnie? Zabrała mnie... — skinął głową w stronę okna — ... tam? Albo spróbowałabyś to zrobić?

— Oczywiście.

— No cóż — stwierdził Wyatt. — A niech mnie.

Był wściekły i bardziej poddenerwowany niż kiedykolwiek wcześniej w życiu.

— Nie zapomnij nawet na sekundę, że ta broń ciągle wycelowana jest w twoje plecach

— Raczej nie zapomnę — odparła dziwnie spokojnym głosem. — Jak cię nazywają?

Powiedział jej.

— Ja jestem Brinna Halphard – Ciemna Brinna, myślę, że tak to można przetłumaczyć.

Konwencjonalna odpowiedź w stylu: „Co u pani słychać?" wydawała się odrobinę niedorzeczna. Wyatt chrząknął więc niespokojnie i zapytał:

— Skąd ta nagła życzliwość?

— Jestem żołnierzem i wiem, że nie da się wygrać każdej potyczki. Nauczyłam się robić to, co najlepsze w danej sytuacji.

— To świetnie — powiedział Wyatt, nie ufając jej ani przez chwilę. Ale zawsze był ciekawski. — Czy tam skąd pochodzisz, wszystkie kobiety są żołnierzami?

— Te, które zechcą. Nie ma różnicy między płciami, tylko między jednostkami w zależności od ich umiejętności. W grupie bojowej jest wiele kobiet – piloci, technicy, oficerowie, strzelcy, zwykli żołnierze.

— Nikt o tym nie myśli?

— A dlaczego mieliby to robić?

Wyatt nie potrafił wymyślić żadnego lepszego powodu, poza tym, że na Ziemi tak było.

Brinna sięgnęła do panelu po jej prawej stronie i zaczęła go otwierać. Wyatt natychmiast poderwał się czujnie.

— Co ty tam robisz?

— Chcesz polecieć do Waszyngtonu. Jeśli nie potrafisz mi podać dokładnych współrzędnych, muszę polecić komputerowi opracowanie kursu.

— Okej — powiedział Wyatt. — Otwórz panel, tylko powoli.

Za panelem znajdowała się tylko niezwykłe kompaktowy komunikator do przekazywania poleceń.

— Widzisz? — powiedziała. — A teraz, jeśli mi pozwolisz...

Pozwolił jej. Zapytał:

— Czy w tym urządzeniu masz już wprowadzone współrzędne na mapie, dla Waszyngtonu?

— Dla wszystkich miejsc na świecie — odparła Brinna. — Naturalnie.

Po plecach Wyatta przeszedł dreszcz. Niektóre z poważniejszych konsekwencji tej sytuacji zaczęły właśnie docierać do jego świadomości.

Na ziemskie niebo wtargnęli wrogowie, szpiegując, sporządzając mapy. Wrogowie z innej gwiazdy, położonej tak daleko, że Ziemia nigdy nawet o niej nie słyszała. Porywano Ziemian, spisywano nazwy miast, sporządzano plany. I gdzieś tam w kosmosie, w ogromnej czarnej i płonącej ogniem pustce, która otaczała Ziemię – już nie jako bariera ochronna, ale jako szlak inwazji – obca flota podążała wyznaczoną drogą.

Wyatt spoglądał przerażony przez okno i zastanawiał się, w jaki sposób, nawet gdyby zmobilizowane zostały wszystkie środki jej obrony, Ziemia miałaby odeprzeć atak wroga tak zaawansowanego technologicznie, że loty międzygwiezdne były dla niego czymś na porządku dziennym.

— Brinna — powiedział, — co…

Zaczął odwracać głowę w jej stronę i kątem oka dostrzegł, że jej dłoń porusza się pośpiesznie po urządzeniach sterujących, ale było już za późno by cokolwiek zrobić. Samolot wyskoczył spod niego bokiem, a okno próbowało przebić mu się przez głowę. Potem wyrzuciło go w drugą stronę z gwałtownością, która prawie skręciła mu kark. Pas bezpieczeństwa wbił mu się w ciało, a ramiona gwałtownie wyleciały na wszystkie strony. Pistolet wyskoczył mu z ręki, jakby przyciągany przez jakiś potężny magnes. Mimowolnie krzyknął, a potem po raz kolejny kierunki się odwróciły i jego głowa ponownie uderzyła w okno, zaś wszystkie gwiazdy zgasły.

Kiedy doszedł do siebie, pozbawiony był broni, a ręce miał bezpiecznie przywiązane do oparcia siedzenia swoim własnym pasem. Potwornie bolała go głowa.

— To było nieczyste zagranie — oznajmił. — Teraz już rozumiem, dlaczego ten pierwszy skręt był taki łagodny – żebym nie wiedział, jak szybko ten pojazd może manewrować pod kątem prostym.

Brinna odparła:

— Czyżbyś się spodziewał, że dam ci kartę z parametrami technicznymi?

— W porządku — stwierdził kwaśno, nienawidząc jej, nienawidząc poczucia bezradności i niewygody, wściekły z powodu kombinacji okoliczności, które zmusiły go do zmagania się z sytuacją, z którą żaden człowiek nie byłby w stanie sobie poradzić. — Dokąd teraz lecimy?

— Wracamy tam, gdzie cię znalazłem. Będziesz musiał w jakiś inny sposób dostać się do Waszyngtonu z ostrzeżeniem.

Wyatt jęknął.

— Co mam zrobić, żebyś zrozumiała? Nikt nie uwierzy nawet w jedno moje słowo.

— To twoja planeta — stwierdziła. — Nie mogę zrobić nic więcej, niż tylko przekazać ci informację, co się wydarzy.

— Chcesz powiedzieć, że niczego więcej nie zrobisz — zauważył z wściekłością. — A tak w ogóle, to w co ty pogrywasz? Gdybyś naprawdę przejmowała się tym, czy Ziemia zostanie zaatakowana, czy nie, upewniłabyś się…

Po lewej stronie panelu kontrolnego zaczęła na przemian migać para małych niebieskich światełek, czemu towarzyszyło przeraźliwe brzęczenie.

Brinna drgnęła. Powiedziała coś we własnym języku, co zabrzmiało jak przekleństwo.

— O co chodzi? — zapytał Wyatt.

— Kłopoty. Och, nie ze statkiem, to tylko komunikator. — Wyciągnęła rękę i jednocześnie posłała mu twarde spojrzenie. — Tylko siedź cicho. Nie mów niczego, bo możesz tylko pogorszyć swoją sprawę.

Nacisnęła przełącznik. Migotanie i brzęczenie ustały, a na małym ekranie pojawiła się twarz mężczyzny. Ze miejsca w którym siedział, Wyatt nie widział jej zbyt wyraźnie, ale wydawało mu się, że jest to twarz, której nie da się raczej lubić, której główną cechą była siła i pewien rodzaj wewnętrznego znużenia. Mężczyzna powiedział coś do Brinny, a ona mu odpowiedziała. Wyatt nie potrafił zrozumieć ani słowa z tego, co mówili.

Jakaś część rozmowy zdawała się dotyczyć samego Wyatta. Zaczął się robić coraz bardziej niecierpliwy i niespokojny. Kiedy kontakt został przerwany, a ekran znów stał się pusty, pochylił się do przodu i spytał:

— O co w tym wszystkim chodzi?

Brinna skinęła lakonicznie głową w stronę okna.

— Spójrz tam.

Jej brwi ściągnięte były w czarny, gniewny pasek i wydawało się, że intensywnie myśli. Wyatt wyjrzał przez małe okno.

Dołączył do nich drugi dyskokształtny statek. Znajdował się jakieś czterysta stóp dalej i utrzymywał ich tempo. W chwili gdy na niego popatrzył, statek przechylił się, ukazując świecący różowy środek, otoczony czarnym zewnętrznym pierścieniem i zdawał się wystrzelić w gwieździstą pustkę.

Brinna podążyła za nim.

Wyatt poderwał się:

— Hej. Powiedziałeś, że zamierzasz mnie podrzucić na płaskowyż…

Pokręciła przecząco głową.

— Teraz już nie da rady. To jest Makvern, stary, dobry szary Makvern, który podejrzewałby nawet swego własnego ojca. Wie, że jesteś na pokładzie. Jest tylko jedno miejsce, dokąd mogę cię zabrać. — Wskazała ekspresyjnie. — Kosmos. Gdybym teraz chciała wylądować z powrotem na Ziemi, jeszcze przed śniadaniem stanęłabym przed sądem wojennym.

Odwróciła się do niego. Wydawało się, że skończyła się zastanawiać nad konsekwencjami nagłej zmiany sytuacji, którą wymusiło pojawienie się Makverna.

— Posłuchaj — powiedziała. — Jestem dla ciebie jedyną nadzieją na powrót na Ziemię przed atakiem. Jeśli komukolwiek powiesz, że próbowałem ci przekazać ostrzeżenie, ta jedyna nadzieja przepadnie. Czy mnie rozumiesz?

— Doskonale — odparł Wyatt. On też trochę się zastanawiał. — Ale ja także jestem twoją jedyną nadzieją na przekazanie na Ziemię ostrzeżenia przed inwazją, na czym bardzo ci zależy, nie dlatego że tak cholernie cię obchodzi co się stanie z Ziemią, ale ze względu na wpływ, jaki według ciebie będzie to miało na twoje własne interesy. A więc, wydaje mi się, że w pewnym sensie jesteśmy partnerami?

— Można by tak powiedzieć. — Jej oczy były jasne i twarde jak dwa odłamki niebieskiego kamienia. Była najładniejszą dziewczyną, jaką Wyatt kiedykolwiek widział na oczy, i wystraszyła go niemal na śmierć. — Partnerzy. Tak. Ale jakiekolwiek mogą być moje motywy, nie dotyczą one ani ciebie ani Ziemi. A jeśli tym razem moje plany się nie powiodą… — Wzruszyła ramionami. — Będą jeszcze inne planety.

Wyatt odparł rezolutnie:

— Jednak one mogą nie być w stanie walczyć tak dobrze, jak Ziemia. Nie mamy jeszcze w pełni lotów kosmicznych, ale posiadamy broń nuklearną. Wystarczająco dużo, aby nawet waszym siłom dać prawdziwy wycisk. A tego właśnie chcesz, prawda?

Jej twarz lekko się zmieniła. Pomyślał, że prawie się uśmiechnęła, w kwaśny, pozbawiony wesołości sposób.

— Jesteś o wiele za cwany — stwierdziła. — Nie pozwól, aby twój spryt cię zdradził.

— Będę się pilnować — powiedział, wcale nie czując się mądrze, czując mdłości i zawroty głowy, gdy ostatnia cienka krawędź Ziemi zniknęła z pola widzenia i nagle tak naprawdę dotarło do niego, że znalazł się w kosmosie.

Przez jedną szaloną chwilę pomyślał: „To wszystko musi być snem, to wydarzyło się za szybko i jest zbyt szalone, żeby było prawdą, i wkrótce się obudzę.” Ale wiedział, że to nie sen. Był tutaj, ciałem i na jawie, i był jeńcem, lecącym ze związanymi rękami w nieznaną przestrzeń.

I to lecącym szybko.

ROZDZIAŁ III

Otaczała ich noc, która nagle zmieniła się w dzień.

Nie było żadnego zmierzchu, okresu przejściowego. Rozpędzony statek wystrzelił z cienia Ziemi w pełny blask Słońca, co sprawiło takie wrażenie, jakby ktoś zapalił w ciemnym pomieszczeniu wszystkie światła na świecie.

Wyatt wzdrygnął się i odwrócił głowę. Kiedy odważył się spojrzeć ponownie, iluminator przesłonięty był soczewką filtrującą. Właściwie to musiała ona wsunąć się na miejsce od razu, inaczej już pierwsze spojrzenie oślepiłoby go. Widoczna za iluminatorem przestrzeń kosmiczna wydawała się być wypełniona światłem, a przepełniająca ją czerń skryła się za tym złocistym blaskiem.

Dostrzegł statek Makverna, wciąż zajmujący pozycję z przodu i nieco z boku, jego wypolerowany pierścień świecił i błyszczał. Wydawało się, że niewielki pojazd prześlizguje się po oceanie ognia jak ulotny cień, i Wyatt poczuł wręcz hipnotyczną iluzję, że on również swobodnie się unosi i wiruje jak pyłek, na niebieskich potokach światła.

Brinna pochylała się skoncentrowana nad swymi sterami i nie poświęcała spektaklowi na zewnątrz, poważniejszej uwagi. Wyatt uświadomił sobie, że dla niej, oczywiście, był to dobrze znany widok. Musiała oglądać słońca w całej galaktyce i uważała je za coś nie bardziej interesującego niż uliczne latarnie.

Dla Wyatta stanowił on jednak zupełną nowość. Wciąż śmiertelnie go przerażało, że znalazł się tam gdzie jest, ale nawet strach rozpłynął się we wszechogarniającym zachwycie i podziwie. Wyciągał na wszystkie strony szyję, żeby popatrzeć na samo słońce, ale ono pozostawało za nimi, a otwory z tamtej strony kokpitu były całkowicie zasłonięte. Wszystko, co mógł zobaczyć, to rozedrgane kurtyny ognia, które nagle wyskakiwały, by zakryć połowę jego pola widzenia, a następnie opadały, spływając złocistymi strumieniami. Wydawało mu się, że muszą to być protuberancje słoneczne lub część korony. Złoty zalew światła rozlewał się coraz bardziej, a on nie widział jego krańców, choć wiedział, że gdzieś muszą być. Przed pojazdem pędził skośny, cienki, czarny klin o ostrej krawędzi, przecinający ostro blask. To musiał być ich cień.

Widać było tylko światło, statek Makverna, cień, i nic więcej. Potem w polu widzenia pojawił się biały zakrzywiony obiekt, podobny do nadgryzionej kości, i zdał sobie sprawę, że to krawędź Księżyca.

Kierowali się w jego stronę. Po raz pierwszy Wyatt miał punkt odniesienia, na podstawie którego mógł oszacować ich obecną prędkość. Ilekolwiek by ona nie wynosiła w milach na godzinę, była cholernie wysoka. Księżyc niemalże rzucił się na nich. Zobaczył rozwierające się otwory kraterów i wyrastające w górę dziwne, najeżone skałami góry, dokładnie tak samo, jak na filmach z rosnącymi roślinami, zrobionych kamerą poklatkową. Krzemienne szczyty świeciły jak rzędy zębów. Wyattowi serce podskoczyło do gardła. Rozumiał, że Makvern i Brinna muszą wiedzieć, co robią, i był zdecydowany nie krzyczeć, ale stwierdził, że próbuje przebić się stopami przez podłogę w mimowolnym odruchu naciskania hamulców.

Oba statki zwinęły się nagle w skręcie i przemknęły ponad powierzchnią Księżyca – Wyatt zdawał sobie sprawę, że to tylko pozbawiona powietrza przestrzeń kosmiczna oraz blask odbijającego się światła słonecznego sprawiały, że powierzchnia ta wydawała się na tyle blisko, iż pozornie wystarczyło podczas przelotu wyciągnąć rękę i chwycić idealnie widoczne kawałki połamanego pumeksu. Równiny, kratery,

szczyty i pasma górskie, oślepiająco białe lub wytrawione atramentowym cieniem, przemknęły błyskawicznie pod nimi i znaleźli się na szczycie linii terminatora, przelecieli nad nią, po czym znowu zapanowała noc, czarna, czarna, czarna i obwieszona gwiazdami.

Wyatt otrząsnął się, otępiały. Czuł się jak po skoku do głębokiej wody, oszołomiony. Osłona filtrująca automatycznie zsunęła się z okna. Popatrzył na drugą stronę Księżyca, błyszczącą tajemniczo w wiecznym blasku gwiazd, i nie był zbytnio zaskoczony, widząc jak bardzo przypomina ona znajome lico Srebrnego Globu, zwracające się ku Ziemi.

Jeszcze raz oba statki przechyliły się i wykręciły, a Wyatt ujrzał statek.

Wisiał bez ruchu między Księżycem a gwiazdami, olbrzymi cylindryczny kształt, rzucający matowe błyski na bokach i tępym nosie. Mógł tylko odgadywać jego rozmiary na podstawie obszaru zakrytych gwiazd, ale nawet takie oszacowania byłyby jedynie przypuszczalne. Był duży. Naprawdę duży.

Z początku na jego kadłubie nie było widać żadnych świateł, ale po chwili zapaliło się jedno, kładąc jasną białą ścieżkę na czerni kosmicznej próżni. Statek Makverna wszedł na tę ścieżkę, pomknął po niej, stopniowo zwalniając, i wkrótce zniknął.

— Co to jest? — spytał Wyatt, a Brinna wyjaśniła:

— Zwiadowczy statek baza. Nie sądziłeś chyba, że dolecimy tymi skimmerami aż na Alfę Centauri, co?

Wyatt odparł:

— Tak naprawdę, to nie myślałem jeszcze o tym, w jakiś szczegółowy sposób.

Alfa Centauri, pomyślał. Mój Boże.

Brinna umieściła skimmer, jak go nazwała, na oświetlonej ścieżce podejścia.

— Prawdopodobnie czeka cię dosyć ciężki okres — powiedziała. — Będą cię przesłuchiwać. Nie są brutalni, ale muszą być dokładni. Nie jestem w stanie nic na to poradzić. Ale trzymaj się, a ja zorganizuję twoją ucieczkę tak szybko, jak to tylko możliwe.

— Dzięki — stwierdził z goryczą Wyatt.

— Gdybyś — odparła z równie wielką goryczą Brinna — nie spieszył się tak bardzo, żeby zmusić mnie do lotu do Waszyngtonu, nie byłoby cię tutaj. Nie obwiniaj więc mnie za wszystkie swoje kłopoty.

Skimmer zwolnił, podążając po promieniu światła.

Wyatta ogarnęła fala paniki.

— Dlaczego Alfa Centauri? Dlaczego muszę tam lecieć?

— Z dwóch powodów. Działamy z dużym wyprzedzeniem, zawsze planując następną kampanię, zanim zakończymy poprzednią. Mówiłem ci, że będą cię przesłuchiwać. Jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, pokażą ci kampanię na Centauri, abyś miał jasne wyobrażenie, w jaki sposób działamy, a potem zostaniesz wykorzystany do przekonania swoich rodaków, aby nie stawiali oporu.

— Ale wcześniej zorganizujesz moją ucieczkę.

— Zrobię, co w mojej mocy — warknęła — jeżeli tylko będziesz trzymał gębę na kłódkę. Teraz wlatujemy do środka i od tej chwili jesteś kolejnym więźniem.

Wyatt popatrzył na nią. Zupełnie nie ufał jej obietnicy. Pomyślał, że lepiej będzie nie polegać za bardzo na tej ciemnej dziewczynie.

Skimmer dotarł do wielkiego włazu. Wyatt usłyszał głośne kliknięcie, przenoszone przez powietrze w kokpicie, i poczuł mocny wstrząs, gdy uchwyciło ich, jak mu się wydawało, coś w rodzaju chwytaka magnetycznego. Za iluminatorem widział teraz jasno oświetloną przestrzeń, wielkości, jak to w przybliżeniu oceniał, stacji Grand Central, wyposażoną w jakieś ogromne, niepojęte w swym działaniu, maszyny. Żadna z nich nie wyglądała na podobną do jakiejkolwiek maszyny napędowej lub komunikacyjnej, które znał. Jak w ogóle mógłby komunikować się statek szybszy od światła? Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Na zewnątrz poruszały się drobne postaci. Rozpoznawał w nich ludzi w skafandrach. Kombinezony były zadziwiająco podobne do tych testowanych przez siły powietrzne dla lotów na dużych wysokościach. Pomyślał, że chłopcy z sił powietrznych byliby zadowoleni, gdyby dowiedzieli się, że ich projekty są dobre.

Skimmer pozostawał w stanie uśpienia, unoszony był i obsługiwany przez siły z zewnątrz. Brinna powiedziała:

— Musimy poczekać, aż wzrośnie ciśnienie.

Ogromne wrota włazu pod nimi, zamknęły się. Po chwili Wyatt usłyszał lekkie dźwięki dochodzące z zewnątrz skimmera, głównie pulsujący odgłos przypominający bicie gigantycznego serca. Jak sądził, musiała być to pompa powietrza.

Rozmyślał nad pomysłem, który przyszedł mu do głowy. Nie sądził, aby to był jakiś niesamowicie dobry pomysł, ale był jedyny na jaki wpadł, i musiał coś zrobić, jakoś spróbować przesłać ostrzeżenie na Ziemię. Nie mógł tak po prostu tylko czekać, aż Brinna pomoże mu w ucieczce, mogła przecież nie mieć takiej możliwości – nawet jeśli go nie oszukiwała, tak jak najwyraźniej starała się oszukać kogoś innego. Musiał spróbować działać na własną rękę.

Wkrótce na tablicy sterowniczej pojawiło się światełko i Brinna pchnęła znajdującą się pod nim dźwignię.

Wstała.

— W porządku — oznajmiła. — Ty idź przede mną.

Wyatt wstał ze związanymi rękami. Przeszedł przez otwór wyjściowy i znalazł się na wąskich schodkach, które wysunęły się z obrzeża dysku. Pod ostatnim szczeblem znajdowała się platforma, na którą wszedł. Brinna stanęła za nim. Skimmer zwisał na haku na położonej nad nimi taśmie. Statek Makverna znajdował się tuż za nim, na podobnym chwytaku. Na końcu taśmy znajdowała się ruchoma półka, na której znajdowały się już trzy skimmery i dwa puste miejsca. Na trzech innych półkach widać było jeszcze piętnaście stateczków, ułożonych jak ciasta w piekarni.

Ludzie w skafandrach – wśród nich były również kobiety – zdejmowali hełmy. Patrzyli na Wyatta z zainteresowaniem, ale nie przesadnym. W ich kierunku podszedł Makvern. Również przyglądał się Wyattowi. Oczy miał ciemne, a skórę twardą, noszącą ślady wystawienia na działanie wielu słońc. Jego włosy były grube i sztywne, stalowoszare. Ramiona miał szerokie, ciało twarde i szczupłe, a nogi długie. Wyatt pomyślał sobie, że gdyby spotkał Makverna w innym miejscu i czasie, mógłby go polubić. W obecnej jednak sytuacji, czuł do niego nienawiść.

Makvern skinął głową Brinnie. Nosił taki sam czarny mundur jak ona, ale insygnia na jego koszuli były inne i zawierały rubinowy ćwiek. Obserwował Wyatta, jak inny z ludzi rozwiązuje mu ręce.

— Technik, co? — powiedział, mówiąc po angielsku nie lepiej niż Brinna, ale całkowicie zrozumiale. — Dobra robota, droga pani kapitan. Bardzo kogoś takiego potrzebowaliśmy.

— Dziękuję — odparła Brinna. — Mam nadzieję, że się przyda.

Makvern zwrócił się do Wyatta:

— Jaka jest twoja dziedzina?

— Łączność — powiedział Wyatt. — I od razu mogę wam powiedzieć, że o broni i obronie, nie wiem nic więcej niż ktokolwiek kto potrafi czytać codzienne gazety, oraz że w ogóle wam się nie przydam.

Makvern stwierdził:

— Widzę, że Brinna wyjaśniła ci, dlaczego cię tu sprowadzono.

— Zrobiła to. W pełni.

— Cóż — powiedział Makvern. — Chodź ze mną.

Odszedł, a Brinna skinęła na Wyatta, by poszedł za nim. Zrobił to, szurając po pokładzie swymi stopami w skarpetkach. Pomyślał, że to cholerny pech, znaleźć się w drodze na Alfa Centauri i nie mieć butów.

Teraz przynajmniej miał wolne ręce. Byli tacy pewni, że nie zdoła uciec wewnątrz ich statku. No cóż, nie ucieknie. Ale może uda się zrobić coś innego. Spojrzał na Makverna, kiedy szli przez wielkie pomieszczenie.

— Statki międzygwiezdne — powiedział Wyatt. — Szybsze niż światło. Jak, do diabła, możecie komunikować się przy takich prędkościach i na takie dystanse?

Makvern uśmiechnął się lekko.

— Zgadza się, mówiłeś, że jesteś specem od łączności. No cóż, są na to sposoby. Istnieje pewne promieniowanie, o którym nigdy nie słyszałeś.

— Chciałbym zobaczyć sprzęt, który może wysłać sygnał szybszy niż światło — mruknął Wyatt.

Makvern popatrzył na niego w zamyśleniu.

— Dlaczego by nie? Będziemy przechodzić koło pomieszczenia łączności.

Brinna wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie odezwała się, więc wyszli z ładowni i ruszyli przez schludny, funkcjonalny labirynt korytarzy.

— Oto jesteśmy — powiedział Makvern i otworzył drzwi w grodzi.

Wyatt rzucił się do przodu, nisko i szybko, jak piłkarz wykonujący desperacki atak. Jego bark uderzył Makverna w dolną część pleców, ręce chwyciły go mocno w talii, a ciężar pchnął go do przodu, ściągając w dół, przez drzwi do pomieszczenia łączności. Razem uderzyli o pokład. Wyatt był na górze, więc Makvern chrząknął ciężko po upadku. Dwóch ludzi w pomieszczeniu, wyskoczyło zaalarmowanych ze swoich foteli. Wyatt odwrócił głowę i zobaczył Brinnę w wejściu, po czym zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Nie było możliwości, żeby zamknąć je na klucz. Zerwał się na równe nogi, szalejąc z konieczności pośpiechu, i zdał sobie sprawę, że Makvern się nie rusza. Musiał uderzyć głową o pokład, kiedy upadł. Wyatt przyciągnął go do drzwi, żeby je zablokować, a do tego czasu jeden z dwóch ludzi w środku, wrócił do swoich przyrządów i zaczął krzyczeć do czegoś, co Wyatt uznał za interkom statku.

Drugi z ludzi był już prawie przy nim.

Wyatt nie mógł uniknąć tej szarży. Mężczyzna był duży, młody i silny, przyszpilił Wyatta do ściany i staranował go. Wyatt nie przejmował się żadnymi zasadami walki w ringu. Opuścił głowę i mocno nią uderzył. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, a Wyatt walnął go w szczękę, aby pomóc mu znaleźć się na podłodze, sam zaś rzucił się na człowieka, który zajmował się podniesieniem alarmu na całym statku.

Ten człowiek nie należał do wojowników. Spojrzał na Wyatta dużymi, przerażonymi oczami i uniósł ręce w słabym geście wyprowadzenia ciosu, ale pięść Wyatta trafiła go mocno w twarz, a on jęknął, obrócił się i padł na kolana.

W pomieszczeniu łączności zrobiło się teraz cicho, z wyjątkiem serii odgłosów za drzwiami. Wyatt stał ciężko dysząc, spoglądając na labirynt różnych urządzeń.

Tutaj, w zasięgu jego ręki, znajdował się sposób na ostrzeżenie Ziemi. System radiowy na tym statku musi być wystarczająco silny, aby sięgnąć do wszystkich odbiorników na planecie. Musiał się tylko dowiedzieć, jak go użyć.

Zaklął w udręczeniu i frustracji. Nic tutaj nie miało właściwych oznaczeń, nic nie było takie, jakie znał. Wszystko było tu, na miejscu, i było całkowicie bezużyteczne.

Sięgnął ręką i chwycił mężczyznę, który kucał na pokładzie obok niego. Szarpnięciem, postawił go do pionu. Potrząsnął nim.

— Posłuchaj — powiedział. — Posłuchaj, sprawisz, że to zacznie działać. Zrozumiałeś?

Mężczyzna w oszołomieniu pokręcił głową z boku na bok i powiedział coś we własnym języku.

Uścisk Wyatta stał się bolesny.

— Mam zamiar wysłać wiadomość na Ziemię — powiedział, ale wtedy Makvern odezwał się cicho za jego plecami.

— On cię nie rozumie, Wyatt. Puść go.

Wyatt obrócił się, ciągle trzymając mężczyznę przed sobą. Makvern pozbierał się już na nogi. Stał obok drzwi z bronią w ręku. Drzwi zostały już otwarte i stała w nich Brinna z kciukami za paskiem, patrząc co się dzieje. Na korytarzu za nią, zbliżali się kolejni ludzie.

Wyatt oznajmił:

— Jeśli do mnie strzelisz, trafisz też własnego człowieka.

Przesunął uchwyt, przyciągając mężczyznę bliżej panelu kontrolnego. Czując, nawet wtedy gdy mówił, absolutnie beznadziejny charakter tej ostatniej wymykającej mu się z rąk szansy, powiedział:

— Powiedz mi to, czego chcę, albo zniszczę wasz system komunikacyjny tak dokładnie…

— To była niezła próba, Wyatt — oznajmił Makvern, nie bez pewnego podziwu, i nacisnął spust swojej broni.

Wyatt nawet nie wiedział, co go walnęło.

Kiedy się obudził, leżał na pryczy w małej metalowej kabinie. Tuż obok jego głowy wisiało dziwne urządzenie przypominające hełm, połączone kablami z niską, przysadzistą szafką.

Makvern stał obok i patrzył na niego. Wyglądał na czujnego i ostrożnego, a jego ręka spoczywała swobodnie na wiszącej w kaburze bocznej broni.

— Jak się teraz czujesz? — spytał Makvern.

Wyatt zaczął kwaśną odpowiedź, po czym zamarł z niedowierzaniem.

Makvern nie mówił po angielsku. Mówił w zupełnie obcym języku – a jednak on, Wyatt, go rozumiał!

— Co… jak… — zaczął Wyatt.

Makvern uśmiechnął się.

— Skąd nagle znasz język Uryx, nasz język? To proste. Taśmy do nauki.

Wskazał na hełm i szafkę. Wyatt gapił się jak kretyn. To było zbyt niesamowite. Słyszał słowa, których nigdy wcześniej świadomie nie słyszał, a mimo to je rozumiał…

Wykrztusił z trudem.

— Taśmy do nauki?

Makvern usiadł koło niego.

— Przez kilka dni byłeś pod promieniami seda, Wyatt. Prawdę mówiąc, zbliżamy się już do miejsca naszego spotkania z flotą, niedaleko Alfa Centauri.

A więc minęło tyle czasu? Nie było to zaskakujące. Ale ta druga rzecz…

Makvern ciągnął dalej.

— Czy nie macie jeszcze na waszej Ziemi techniki nauczania dowolnej wiedzy, podczas snu podmiotu?

Wyatt zaczął już wszystko rozumieć.

— Masz na myśli nagrany głos, który w kółko powtarza fakty do ucha śpiącego człowieka? Tak. Mamy takie urządzenia – ale nie na tyle dobre, aby nauczyć człowieka we śnie zupełnie nowego języka.

— U nas — powiedział Makvern, — są one wystarczająco dobre. Zawsze ich używamy, kiedy już poznamy słownictwo i gramatykę od

naszych pierwszych jeńców. Ułatwia to przesłuchiwanie kolejnych. Zamiast zmuszać wszystkich naszych oficerów wywiadu, techników i tak dalej do nauczenia się języka więźnia, dajemy mu znajomość naszego języka.

Wyatt wciąż nie mógł tego pojąć, było to jak dla niego zbyt wiele. Leżał i patrzył na Makverna, i po chwili powiedział:

— Wydajesz się przyzwoitym facetem, a nie jakimś rzeźnikiem czy też chciwym zdobywcą. Może będziesz w stanie mi powiedzieć, dlaczego twoi rodacy myślą, że mają prawo zachowywać się jak gromada cholernych bandziorów?

Makvern uśmiechnął się blado.

— Prawdopodobnie — stwierdził, — dlatego że tym dokładnie jesteśmy. Uryx jest wciąż młodym imperium. Wyobrażam sobie, że uczyłeś się na Ziemi, jak rosną imperia – rozpoczynając od małego, słabego, ubogiego państewka, walczącego o swoje istnienie i w ten sposób stającego się, poprzez proces pochłaniania sąsiadów, ogromną potęgą, która jest w stanie pokonać wszystko co znajdzie się w jej zasięgu. Robiąc to, pragnie nasycić się tym wszystkim, czego wcześniej nigdy nie miała.

Wykonał szeroki, zamaszysty gest.

— Bogactwem, pięknem, techniką, kulturą, wiedzą, wszystkim pod tysiącami słońc, co mogłoby nas wzbogacić lub zabawić. Wciąż jesteśmy na tym etapie zdobywania.

Wyatt chrząknął.

— To wszystko brzmi strasznie filozoficznie, ale nadal nie czyni was niczym innym, jak tylko bandytami.

— Kiedy dołączymy do głównej floty — odparł Makvern, nie wpadając w gniew — możesz sobie to przedyskutować z Varsekiem.

— Varsek?

— Naczelny dowódca naszej grupy bojowej. Eee… szef, jak byś go chyba nazwał.

— Z przyjemnością z nim sobie porozmawiam — powiedział Wyatt. — Ale jeśli sądzi, że otrzyma ode mnie jakąkolwiek pomoc, to się grubo myli.

Popatrzył na Makverna i nagle powiedział:

— Celowo dałeś mi szansę tam, w pomieszczeniu łączności, co?

— Naprawdę?

— Tak. Nie musiałeś mi go pokazywać, musiałeś wiedzieć, co mi chodzi po głowie. Ale nie miałeś zamiaru pozwolić mi na przekazanie wiadomości na Ziemię. Udawałeś że nie wiesz co się dzieje, aż zaczęło wyglądać na to, że uda mi się tego dokonać, a wtedy wszedłeś do akcji i mnie powstrzymałeś.

— Dlaczego niby miałbym robić coś podobnego? — spytał spokojnie Makvern.

— Rzeczywiście, dlaczego? Właśnie o to pytam.

Makvern stwierdził:

— Może cię testowałem, żeby się czegoś dowiedzieć, Wyatt. Pozwól, że w zamian zadam ci pytanie. Dlaczego pozwoliłeś Brinnie tak łatwo się złapać?

— Co masz na myśli, przez „łatwo”?

— Miałeś broń. A jednak nie użyłeś jej przeciwko Brinnie. Dlaczego?

Wyatt natychmiast zrobił się ostrożny i czujny. Czyżby zatem Makvern podejrzewał układ między Brinną a nim, podejrzewał Brinnę o oszustwo? Lepiej zachować ostrożność.

Odparł:

— O co ci chodzi z tą Brinną? Dla mnie to tylko samica żbika, która spadła z nieba.

— Jest tym, co można by nazwać bardzo wielką szychą — powiedział Makvern. — Wysokim oficerem grupy bojowej, któremu głównodowodzący Varsek ufa bezgranicznie.

Czy Makvern lekko podkreślił słowo „ufa”? Wyatt nie był pewien. Był już pewien tylko jednego, że w ogromnej grupie bojowej kipiało od diabelskich intryg, które ciągnęły się za jej łupieżczą podróżą poprzez słońca galaktyki, oraz że on, Wyatt, był mniej niż najdrobniejszym pionkiem w tej skrytej grze.

— Nie myślałbym — dodał Makvern — zbyt wiele o Brinnie. Wiem, że ona jest piękna. Ale jest zakochana.

Co dziwne, Wyatt poczuł ukłucie zazdrości, kiedy to usłyszał.

— Zakochana? W kim?

— We władzy — odparł ponuro Makvern, a potem w następnej chwili światło w kabinie zrobiło się niebieskie i nastąpił budzący zawrót głowy wstrząs, który sprawił, że Wyatt poczuł się, jakby spadał, spadał, a wszystko wokół niego zniknęło, pogrążając się w otchłani ciemności…

Zawodzenie zmieniło się w pisk i wyszedł poza zakres słyszalności, a potem światła znów zapłonęły bielą i zawroty głowy minęły.

— Co u diabła… — zaczął chrapliwie.

Makvern wstał.

— Właśnie wyszliśmy z hipernapędu. Dotarliśmy do grupy bojowej. Chodź, Wyatt – dla ciebie, nadeszła najważniejsza chwila.

ROZDZIAŁ IV

Tutaj, na przeszklonym mostku, tło stanowiły gwiazdy.

Chmury gwiazd, całe ich rzeki, warkocze i kule, tu i ówdzie poprzecinane lśniącymi mgławicami, niczym zasłonami z najwspanialszego ognia, jaki kiedykolwiek ktoś mógłby sobie wyobrazić. Błyszczące wszystkimi kolorami tęczy. Czerwone, niebieskie, przydymione żółte, zielone, diamentowo białe. Niektóre z nich, jak uświadomił sobie Wyatt, to wcale nie były gwiazdy, lecz galaktyki, rozproszone beztroskimi milionami w pozornie nieskończonym wszechświecie. Dla uwiązanego do Ziemi,

przyzwyczajonego do płaskiego nieba człowieka, takiego jak on, było to prawie zbyt wiele do zniesienia. Widok dziesięciu miliardów gwiazd i milionów galaktyk oraz całej pustej przestrzeni między nimi, w której mogły się poruszać, powodował że człowiek zaczynał zdawać sobie sprawę, że przed nim rozciąga się Wszechświat, że on, człowiek, jest gdzieś w jego wnętrzu. Że nie stoi na jakiejś powierzchni świata i nie patrzy do góry, tak jak to było na Ziemi, ale że znajduje się w samym środku Kosmosu, będąc nicością wobec jego nieskończonego ogromu, amen. Jeśli ktoś nie jest wyznawcą żadnej religii, to lepiej jeśli szybko sobie jakiejś poszuka, ponieważ oczywiste było, że tylko Bóg mógł stworzyć coś podobnego.

Wyatt mgliście uświadomił sobie, że ktoś – Makvern – coś do niego mówi. Alfa Centauri. Wyciągnięta ręka przybysza z kosmosu wskazywała na nią, sprowadzając go z powrotem od nieskończoności do szczegółu.

Przed nimi, ciągle jeszcze bardzo daleko, ale wystarczająco blisko, by wyróżniało się spośród bardziej odległych gwiazd jak latarnia morska, widać było żółte słońce.

— Ma towarzysza — mówił Makvern, — ale on jest nieistotny i nie przeszkodził w stworzeniu stabilnego układu planetarnego wokół głównego składnika systemu. Alfa Centauri ma osiem planet – jest bardzo podobna do twojego własnego Słońca. Dwie wewnętrzne planety są zbyt gorące, zaś te zewnętrzne są zbyt zimne, ale na trzeciej i czwartej istnieje życie. Trzecia jest bliżej Słońca niż Ziemia i wciąż znajduje się w stosunkowo prymitywnym stadium ewolucji. Możemy tam zbierać minerały, ale nic więcej. Czwarty świat, to nasz cel.

Wyatt zamknął oczy, odcinając się od blasku słońc, mgławic i krążących galaktyk, i spróbował skoncentrować się na Alfie Centauri, jej czwartej planecie, i na sobie.

— Gdzie jest wasza flota? — spytał i ponownie otworzył oczy, przyglądając się dokładniej szczegółom, zamiast próbować zobaczyć dzieło stworzenia.

Makvern ponownie wskazał ręką.

I po raz kolejny, Wyatt poczuł oszołomienie, tym razem w znacznie bardziej osobistej formie. Słońca i galaktyki były czymś bardzo odległym, jako niesamowite dzieło Boga, ale te statki zbudowali ludzie. A każdy z nich był prawie równie przytłaczający, jak pozostałe.

To była piekielnie wielka armada.

Flota także była daleko od nich, choć nie tak odległa, jak Alfa Centauri. Makvern wyjaśnił, że u nich nie wykonywano manewrów bliskiego zasięgu na hipernapędzie, przy użyciu którego błędy rzędu ułamków sekund, przekładały się na wielokrotności parseków. Główne siły grupy bojowej miały zbliżyć się do układu Alfa Centauri z prędkością planetarną i rozlokować się zgodnie z ustalonym głównym planem ataku, przygotowanym wcześniej, podczas gdy reszta floty miała zająć się plądrowaniem nieszczęsnych światów leżącego przed nią układu gwiezdnego. Statek zwiadowczy znajdował się teraz na kursie przecinającym.

Wyatt obserwował to podejście, z rosnącym podziwem i przekonaniem, że bez względu na to ile ostrzeżeń wysłałby na Ziemię, nie przyniesie to zupełnie niczego.

Myślał, że zwiadowca jest ogromny, kiedy po raz pierwszy zobaczył go, jak wisi na niebie po ciemnej stronie Księżyca. Ale im bardziej zbliżali się do floty, tym statek baza wydawał mu się mniejszym, i podobnie czuł się on sam. Wreszcie zaczęło mu to niemalże przypominać widok z perspektywy nieznaczącej drobnej płotki, na stado wielorybów poruszających się z całym swym majestatem, z towarzyszącymi im po bokach szybkimi złowrogimi postaciami wielkich rekinów. Analogia była może trochę zbyt oczywista, ale całkiem niezła, pomyślał Wyatt. Falanga wielkich, ciemnych kształtów unosiła się w przestrzeni kosmicznej, jak w czarnej wodzie, muśniętej przelotnymi błyskami światła, które mogły być skutkiem fosforescencji, a nie blasku gwiazd. Największe z nich – ciężkie statki wsparcia, transportowce z żołnierzami, statki zaopatrzeniowe i potwory o pękatych brzuchach, które wedle twierdzeń Brinny, wykorzystywane były do przechowywania i przewożenia łupów – leciały razem, w szyku w kształcie klina, z okrętem flagowym na czele. Przed nimi oraz na obu skrzydłach, znajdowały się mniejsze, szybsze jednostki typu niszczycieli, silnie uzbrojone, ale zwrotne. Stanowiły one czoło każdego ataku i broniły floty przed wszelkimi wrogimi działaniami w kosmosie. Z tyłu kłębiła się ławica mniejszych statków, takich jak baza zwiadowcza, może nie tak wspaniałych, ale niezastąpionych jako konie robocze floty.

Statki te przybyły przez całą galaktykę, zbudowane były i obsadzone przez ludzi, poczęte w ich mózgach i sterowane przez ich dłonie. Szkoda tylko, że cel ich przybycia, nie był bardziej szlachetny.

Grupa bojowa sunęła coraz bliżej, przetaczała się przed bazą zwiadowczą jak potężna fala, pochłonęła ją i poniosła w swym nieustępliwym pędzie ku Alfie Centauri.

Komunikator z tyłu mostka, który w trakcie rutynowych czynności technicznych wyszczekiwał kolejne wiadomości, nagle zmienił ton.

— Oczyścić kanały łączności — oznajmił energicznie jakiś ważny głos. — Oczyścić kanały dla Numeru Jeden.

Operator w Dowództwie Floty, którego obraz widoczny był na ekranie, natychmiast wcisnął włącznik. Mimowolnie wszyscy na mostku wyprostowali się w postawie zasadniczej, nawet Makvern i Brinna.

Szybko, Brinna rzuciła pod nosem:

— Czego on chce, co by nie mogło poczekać na nasz normalny raport?

Wyglądała na zatroskaną. Wyrzuty sumienia, pomyślał Wyatt. Ale sumienie Makverna było czyste, przynajmniej jeśli chodziło o Wyatta, a on także wyglądał na zmartwionego. Niemalże, można by powiedzieć, na pełnego obaw.

Kiedy odwrócił się w stronę ekranu, na jego obliczu nie było ani śladu tego uczucia, tylko odpowiedni, skupiony wyraz twarzy oficera sztabowego, który miał zamiar rozmawiać ze swym szefem.

Na ekranie pojawił się szybko oficer operacyjny, posiadacz owego oficjalnego głosu.

— ST-6 — oznajmił. — ST-6, to jest połączenie od Numeru Jeden. Numer Jeden, prosi kapitana sztabowego Makverna.

Makvern podszedł do strefy odbioru.

— Tutaj kapitan Makvern.

— Proszę czekać w gotowości, panie kapitanie. Głównodowodzący Varsek jest gotów z panem porozmawiać.

Makvern czekał więc w gotowości. Wydawał się zupełnie spokojny. Brinna zacisnęła usta i zmrużyła oczy. Wyatt próbował coś powiedzieć, ale kobieta gwałtownie pokręciła głową. Zamknął usta. Cały mostek czekał w milczeniu, jakby miała na niego zstąpić jakaś Najwyższa Istota.

Operator zniknął z ekranu, który przez chwilę czy dwie był ciemny. Potem znów się rozjaśnił i pojawił się na nim głównodowodzący Varsek.

Skinął głową Makvernowi, który w odpowiedzi zasalutował. Siedział za dużym biurkiem, zawalonym wykresami, papierami, szpulami mikrofilmów, kilkoma ekranami i różnymi środkami łączności. W przeciwieństwie do nieskazitelnego wyglądu operatora – i wszystkich innych, których Wyatt do tej pory tutaj widział – koszula munduru Varseka była rozpięta z przodu, rękawy miał podwinięte, a sam mundur wyglądał, jakby kopał w nim rowy. Sprawiał wrażenie człowieka ogromnie zakopanego w pracy, w rodzaju „dwie godziny snu na dobę", „dajcie mi kawy i benzedryny, a będę mógł dalej pracować", co automatycznie sprawiało, że wszyscy inni czuli się przy nim leniwymi palantami. Cała ta jego poza, jednak tylko lekko irytowała Wyatta. To twarz Varseka i to co za nią wyczuwał, sprawiała że Wyatt poczuł, iż naprawdę może znienawidzić tego człowieka.

Varsek był wysokim, szczupłym mężczyzną, jego twarz była wielka i szczupła, cała poznaczona twardymi, wystającymi kośćmi, i w żadnym jej miejscu nie było widać ani śladu miękkości, ciepła, czy też życzliwości. Uśmiechał się, ale ten uśmiech był tylko kłamstwem. Wyatt myślał, że cała reszta też była kłamstwem, a przynajmniej celową pozą. Tylko oczy tego człowieka były prawdziwe. Popatrzyły na Makverna, potem na Brinnę, a potem przez dosyć długą chwilę na Wyatta. Były drapieżne i głodne, zimne i okrutne, bardzo inteligentne i niepokojąco wskazujące na umysł zdolny do poradzenia sobie prawie ze wszystkimi problemami.

— To wasz jeniec, prawda? — powiedział. — Dobrze. Wygląda na inteligentniejszego niż którykolwiek, z tych których wcześniej widziałem. — Skierował swoją uwagę z powrotem na Makverna. — Wysłałem po ciebie skimmer. Po ciebie też, Brinna.

Makvern odparł niemalże zbyt ostrożnym, pozbawionym wyrazu głosem:

— Właśnie mieliśmy zameldować się na statku flagowym.

— To ważne, Makvern. Nie mogłem dłużej czekać. Mam na pokładzie Lorana, jest bardzo chory, powiedziałbym, że wkrótce umrze. Chcę,

żebyście tu byli, ty i Brinna. — Jego spojrzenie ponownie przesunęło się na Wyatta. — Zabierzcie go ze sobą. To może mu pomóc lepiej nas zrozumieć.

— Tak jest, panie — powiedział Makvern.

Varsek skinął głową i ekran zgasł.

Ktoś powiedział:

— Skimmer właśnie wchodzi do śluzy, panie kapitanie.

Makvern odwrócił się i spojrzał na Brinnę. Jego twarz była kompletnie biała. Tak samo i jej. Biała, przestraszona, rozgoryczona i gniewna.

— Kim jest Loran? — zapytał Wyatt.

— To jeden z naszych podwładnych — powiedział Makvern zbyt spokojnym tonem. — Chodźcie, nie możemy pozwolić im czekać.

Opuścili mostek i zeszli nie na dół, do głównej ładowni pojazdów zwiadowczych, ale do małej śluzy na rufie. Po drodze Wyatt zapytał:

— Czy możecie mi powiedzieć, co tu się dzieje?

— Dla twojego własnego dobra — odparł Makvern — nie.

Wsiedli do skimmera, pilot nim wystartował, a oni siedzieli sztywni i milczący, jak troje ludzi udających się na stypę. Wyatt miał wrażenie, że za chwilę zbliży się nieco do prawdy o siłach działających tutaj za kulisami. Musiał się tego dowiedzieć, desperacko tego potrzebował. Był gotów sprzedać lub oszukać każdego, łącznie z samym sobą, aby na czas wysłać ostrzeżenie dla Ziemi. Ale zanim będzie mógł to zrobić, musiał się dowiedzieć kto tutaj kupuje, co, i za ile.

Skimmer przeleciał szybko przez całą flotę, mijając wielkie, ciemno błyszczące kadłuby, zmatowiałe przez tysiące atmosfer, poznaczone i porysowane przez kosmiczny pył i gruz, połowy galaktyki.

Przed nimi wyłonił się czarny, olbrzymi kadłub statku flagowego, przesłaniający gwiazdy. Skimmer został zabrany na jego pokład. Chwilę później, gdy stali blisko siebie u szczytu schodów, Makvern szepnął po angielsku:

— To będzie paskudne. Trzymaj się z daleka, rozumiesz? Nieważne, co się stanie!

ROZDZIAŁ V

Człowiek ewidentnie cierpiał, prawdopodobnie umierał, z powodu bólu i tortur, a nie z przyczyn naturalnych.

Był to dosyć młody mężczyzna, młodszy od Makverna, starszy od Brinny. Przywiązany był do czegoś w rodzaju płaskiej kołyski wykonanej z plastikowej siatki, którą zawieszono w niezbyt głębokim okrągłym zgłębieniu. Nad wiszącym człowiekiem, prawie lecz nie całkiem, stykając się z jego ciałem, widać było podwójny rząd kryształowych prętów, których dolne końce znajdowały się blisko siebie a końce górne rozchodziły się, tworząc kształt litery V. Były one zasilane przez przewody

energetyczne, które odchodziły gdzieś na boki zagłębienia. Co jakiś czas, w odpowiedzi na sygnał, do podwójnych prętów przesyłano energię, przebiegały przez nie, w górę i w dół, błyskawiczne rozbłyski niebieskawego światła, a znajdujący się pod nimi człowiek wił się i szlochał w groteskowej i potwornej męce.

Sygnały wydawał Varsek. Siedział na fotelu nad płytkim zagłębieniem, skąd mógł wygodnie spoglądać w twarz Lorana, kiedy z nim rozmawiał. Wokół zagłębienia znajdował się cały pierścień miejsc do siedzenia. Wyatt został umieszczony w jednym z nich. Podobnie jak Makvern, Brinna i kilku innych oficerów, których Wyatt nie znał. Zagłębienie znajdowało się pośrodku niewielkiego pomieszczenia o dźwiękoszczelnych ścianach oraz jedynych drzwiach, bardzo grubych i posiadających zamek od wewnątrz. Pomieszczenie znajdowało się głęboko w najskrytszych trzewiach statku flagowego.

Kryształowe rury były teraz martwe. Loran pokręcił głową z boku na bok, i jęknął. Miał pogryzione wargi i język, oraz lekko krwawił z nosa. Varsek go obserwował. W pomieszczeniu nie było słychać żadnego dźwięku poza jękami Lorana. Nikt się nie ruszył. Nikt nie spojrzał nikomu w oczy. Nikt się nie odzywał. Wokół zagłębienia równie dobrze mogła siedzieć grupa woskowych manekinów.

Za wyjątkiem Varseka. On mówił. Wywoływał Lorana po nazwisku, kilka razy, z beznamiętną wytrwałością, dopóki tamten mu nie odpowiedział. Wtedy Varsek zapytał:

— Kto jest przywódcą Drugiej Partii?

Zadawał to pytanie już pięćdziesiąt, sto razy, dokładnie tym samym tonem.

A Loran odpowiedział, tak samo jak pięćdziesiąt, czy sto razy wcześniej:

— Nie ma żadnej Drugiej Partii.

Tylko jego głos był słabszy za każdym razem, kiedy to mówił.

A Wyatt robił się coraz bardziej chory. Zacisnął dłonie i mocno zacisnął szczęki. Nic nie mógł zrobić. Powtarzał sobie to przez cały czas. Nic nie mógł zrobić.

Varsek oznajmił:

— Nie ma sensu mnie okłamywać, Loranie. Druga Partia istnieje. Każdy statek we flocie, łącznie z tym, ma na pokładzie paru oficerów i grupę marynarzy, którzy nie są wobec mnie lojalni – którzy w rzeczywistości najchętniej odebrali mi tę flotę. Wiem to, Loranie, mam na to absolutnie pewne dowody. Pytam cię tylko, kto jest ich przywódcą.

— Nie ma żadnej Drugiej Partii.

— Czy to któryś z moich oficerów sztabowych, Loranie?

— Nie ma…

— Który? — I wymieniał ich po kolei, łącznie z Makvernem i Brinną, wszystkimi innymi, którzy tam byli, i siedzieli w jasnym świetle z pustymi twarzami i strachem w oczach.

Loran powtórzył:

— Nie ma żadnej Drugiej Partii.

— Podejdźmy do tej sprawy realistycznie — powiedział Varsek. — Twoi przyjaciele, ludzie których tak szlachetnie chronisz, nie mogą ci teraz pomóc. Tylko ja mogę to zrobić. W ciągu minuty mogę kazać cię stąd zabrać, zapewnić najlepszą opiekę medyczną i wszystko, czego potrzebujesz, żeby wyzdrowieć. Musisz tylko odpowiedzieć na moje pytania. To zresztą twój obowiązek, prawda, Loranie? Czyż nie złożyłeś przysięgi lojalności Uryx i rządowi Uryx oraz mnie, jako prawnie wyznaczonemu słudze tego rządu?

Brak odpowiedzi.

— Loranie, jesteś młodym człowiekiem. Nie wyobrażam sobie, żeby podobała ci się idea śmierci. Po co ci to? Podaj mi nazwiska nielojalnych oficerów, których znasz, a będziesz żył.

Loran odparł wyraźnie:

— Idź do diabła.

Varsek ponownie dał sygnał.

Zespoły prętów zapulsowały i zamigotały, a jakaś nieznana niszcząca nerwy, torturująca ciało energia, ruszyła do pracy nad Loranem.

Wyatt wstał. Zdławionym i na wpół artykułowanym głosem obrzucił Varseka najbrudniejszymi określeniami, jakie przyszły mu do głowy, a potem ruszył do niego. Było to oczywiście głupie, ale naprawdę o tym nie myślał. Czuł po prostu zwykłą chęć powstrzymania Varseka przed dalszym robieniem tego, co robił.

Kilku oficerów – jednym z nich był Makvern – pochwyciło go, zanim zdążył zrobić dwa kroki. Varsek rozejrzał się wokół siebie. Uśmiechnął się krótko.

— Tak myślałem, że wyglądasz na odważnego człowieka — stwierdził. — Odważni ludzie zwykle są uparci. Dlatego właśnie tutaj jesteś, żeby zobaczyć, co dzieje się z dzielnymi, upartymi ludźmi.

— Jest ich wielu na Ziemi — powiedział ostro Wyatt. — Nie klękali przed innymi brudnymi, małymi tyranami i nie klękną przez tobą. Pamiętaj o tym.

Makvern warknął mu do ucha:

— Zamknij się, na litość boską. I siadaj.

Jego twarz była sztywna i opanowana, ale w oczach, gdzieś głęboko we wnętrzu, widać było ogień nienawiści i wściekłości, która skłoniła Wyatta do posłuszeństwa. Pozwolił się zepchnąć z powrotem w stronę swojego siedzenia. Potem wystąpiła do przodu Brinna i powiedziała do Varseka:

— Może byłoby bezpieczniej, panie, gdybym umieściła go teraz razem z innymi więźniami.

Varsek zastanowił się nad tym, zupełnie nieporuszony dźwiękami agonii, dochodzącymi z zagłębienia. Przyjrzał się Brinnie, która spoglądała sztywno ponad jego głową na przeciwległą ścianę. Przyjrzał się Makvernowi, który w tej chwili był zimny jak kamień, a Wyatt zaczął się zastanawiać, czy naprawdę widział to, co jak mu się wydawało dostrzegł w

oczach Makverna. Przyjrzał się innym, którzy okazywali różne stopnie przygnębienia, a potem powiedział do Brinny:

— Wyglądasz na chorą, moja droga pani kapitan. Jak możesz oczekiwać dowodzenia flotą bojową, skoro nie potrafisz znieść widoku śmierci jednego człowieka?

Ciało Brinny było absolutnie sztywne. Powiedziała:

— Czy oskarża mnie pan o spiskowanie z Drugą Partią, aby przejąć dowództwo? Jeśli tak, to proszę o formalne…

Varsek pokręcił głową.

— Nie oskarżam, Brinno. To tylko stwierdzenie. Wiem, jak to cię gryzie, że prawdopodobnie nigdy nie będziesz dowodzić flotą tylko ze względu na swoją płeć. — Uśmiechnął się do niej. — Płeć to nie wszystko, Brinno. Po prostu ci to pokazuję. Zdolności i twardość też mają z tym wiele wspólnego. Czy nie tak, Makvern?

— Przypuszczam, że tak, panie.

Człowiek w jamie wył jak torturowane zwierzę. Varsek niecierpliwie nacisnął guzik i pręty przestały migotać, a wycie ustało.

— No dobrze — powiedział Varsek, odwracając się — zabierz stąd swój delikatny żołądek. I może będziesz mogła jakoś wykorzystać swoją płeć przy więźniu. W każdym razie, spróbuj. Reszta z was, zostaje tutaj.

Brinna zasalutowała, zręcznie obróciła się na pięcie i warknęła do Wyatta:

— Idź za mną!

I pomaszerowała w stronę drzwi.

Wyatt rzucił okiem na Makverna, który nie odpowiedział mu spojrzeniem, i ruszył za Brinną.

Był wdzięczny, że wyszedł z tego pomieszczenia. Sam czuł mdłości, był wściekły i nie miał ochoty rozmawiać, a twarz Brinny dodatkowo jeszcze go do tego zniechęcała. Po sposobie, w jaki jej obcasy dzwoniły po żelaznej podłodze, wydawało mu się, że chętnie pod każdym z nich zobaczyłaby głowę Varseka. Wreszcie, kiedy opuścili już poziom pomieszczenia z zagłębieniem i szli razem górnym korytarzem, nie mając nikogo więcej w zasięgu wzroku, odezwał się.

— Spiskujesz z Drugą Partią, Brinno? — spytał.

— Nie — odparła z wściekłością. — Nie spiskuję. Nienawidzę wszystkiego, za czym oni się opowiadają.

— Ale spiskujesz przeciwko Varsekowi?

Zatrzymała się i popatrzyła na niego oczami równie mocno roziskrzonymi, jak u wściekłego kota.

— Jeśli myślisz o tym, by pomóc własnej sprawie, udając się do Varseka z donosem na mnie, to możesz o tym zapomnieć. Po pierwsze, Varsek nikomu nie pomaga. Po drugie, jestem w stanie cię uciszyć, zanim w ogóle do niego dotrzesz.

— Nie — oznajmił powoli Wyatt. — Nie myślałem o donoszeniu na ciebie Varsekowi. Ale to, co o tobie powiedział, jest prawdą. Pragniesz dowództwa. Pomyślałaś sobie, że uzbrojona i przygotowana Ziemia, zada Varsekowi taką porażkę, że będziesz mogła go obalić i przejąć władzę.

— Czy mnie winisz? — wyszeptała Brinna. — To świnia. Okrutna, zdradziecka, sadystyczna świnia. Widziałeś go. Nic dziwnego, że istnieje Druga Partia.

— Jak silna ona jest, Brinno?

— Wystarczająco silna, by martwić Varseka. Loran jest trzecim biednym durniem, którego zakatował na śmierć, próbując się dowiedzieć kto w niej jest. Jeszcze mu się nie udało, ale w końcu tego dokona. A wtedy… — Wykonała ręką ekspresyjny gest cięcia.

— Mówiłeś, że nienawidzisz wszystkiego, co reprezentuje sobą Druga Partia. Co to jest?

— Pokój — wycedziła Brinna, jakby to było haniebne słowo. — Chcą zabrać grupę bojową do domu i zmusić rząd do powstrzymania galaktycznej fali podbojów.

— A ty nie chcesz pokoju?

— Jestem żołnierzem. Na co mi pokój? — Jej twarz stała się twarda, błyszcząca, pełna ambicji. — W każdym razie nie wtedy, kiedy jestem jeszcze młoda i niespełniona. Posłuchaj, Wyatt. Mówiłam ci, że kobiety nie są w naszym społeczeństwie segregowane i dyskryminowane, i to jest prawda – za wyjątkiem najwyższych stanowisk dających władzę w polityce i wojsku. Nawet wtedy nie mówi się otwarcie o płci. Ale w jakiś sposób kobietom, które kandydują na te stanowiska, nigdy nie udało się ich uzyskać. Będę pierwszą, która przełamie te zwyczaje. Mam zamiar kiedyś dowodzić tą grupą bojową.

Położyła mu dłoń na ramieniu, mówiąc szybko, z naglącym naciskiem.

— Nie jestem sama, Wyatt. Mam za sobą potężną grupę. Varsek nie jest popularny wśród oficerów. Marynarze go kochają, ponieważ wygrywa bitwy i odwraca wzrok gdy wykorzystują tubylcze kobiety, ale oni nie muszą mieć z nim do czynienia. Potrzebujemy tylko pretekstu – musimy wszystkim pokazać, że Varsek paskudnie się pomylił – i będziemy mogli wkroczyć do akcji. Ja będę mogła wkroczyć do akcji. Ziemia mogłaby nam dostarczyć takiej wymówki, jeśli twoi rodacy niespodziewanie stawią wystarczająco duży opór. Widzisz więc, że nasze interesy idą w parze.

— Do tego miejsca, tak — stwierdził Wyatt. — Ale co potem?

— Co masz na myśli „potem”?

— Po przejęciu przez ciebie władzy. Co wtedy stanie się z Ziemią? — Odepchnął jej dłoń. — Brinna, nie traktuj mnie jak głupca. Nie przejmiesz władzy od Varseka na tej podstawie, że coś mu się nie udało, a potem nie przyznasz, że ta sama sytuacja ciebie również przerosła.

Jej oczy zwęziły się i znów zapłonął w nich gniewny ogień.

— I?

— I wtedy, twoim kolejnym krokiem będzie zniszczenie mojej planety. Będziesz musiała to zrobić, aby udowodnić, że jesteś lepsza niż Varsek. W przeciwnym razie ktoś inny wysadzi z siodła ciebie.

— Już kiedyś ostrzegałam cię, żebyś nie pozwolił, by twój spryt cię zdradzał — oznajmiła. — Spójrzmy na to wszystko realistycznie. Ziemia

jest naszym następnym celem, zostanie zaatakowana z ostrzeżeniem lub bez niego, i zostanie pokonana. Pomyśl teraz. Jak sądzisz, czy Ziemia zostanie lepiej i bardziej miłosiernie potraktowana przez Varseka, czy przeze mnie?

— Kiedy tak to ujmujesz — powiedział w zamyśleniu Wyatt, — widzę pewne korzyści. W porządku, Brinna. Jak myślisz, kiedy możesz zorganizować ucieczkę?

— Jedyną szansą będzie krótki czas podczas ataku na Alfę Centauri. Przekażę ci wiadomość, gdy tylko zostaną poczynione ustalenia, ale nie niecierpliw się. Słyszałeś Varseka. Będę musiała poruszać się bardzo ostrożnie.

— A co ze mną będzie, w międzyczasie?

— Zostaniesz przesłuchany. Och, nie w taki sposób. Tamto zagłębienie Varsek rezerwuje sobie na specjalne przypadki. Przesłucha cię nasza grupa wywiadu, z wykorzystaniem wszelkich podstępów – kwatery jeńców są dokładnie monitorowane, nie zapominaj o tym – i prawdopodobnie potem sam Varsek. Nie zrażaj go, Wyatt, bo wtedy faktycznie możesz znaleźć się w zagłębieniu.

Doszli do poprzecznego korytarza, a wtedy Brinna rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie i powiedziała ostrym, bezosobowym tonem:

— Tędy.

Jej dłoń spoczywała na rękojeści ogłuszacza.

Wyatt posłusznie skręcił w poprzeczny korytarz. Strażnik, który stał w nim leniwie rozluźniony, poderwał się do postawy na baczność. Pilnował drzwi. Brinna doprowadziła do nich Wyatta i powiedziała:

— Jeszcze jeden do kolekcji.

Strażnik odparł:

— Tak jest, pani kapitan.

Wykonał rękoma skomplikowaną sekwencję czynności, najwyraźniej aktywując źródła zasilania, które zwolniły różne zamki, i drzwi się otworzyły.

— Do środka — powiedział strażnik do Wyatta i wskazał kciukiem.

Nie odzywając się już więcej do Brinny, Wyatt przeszedł przez drzwi. Zamknęły się one za nim z odgłosem przypominającym huk zamykanego na noc skarbca bankowego.

Pokój, w którym się znalazł był dosyć duży, wokół ścian stały prycze. Mniej więcej szesnaście łóżek, pomyślał Wyatt, a na nich lub wokół stołu, przykręconego do podłogi pośrodku pokoju, siedziało nieco ponad dziesięciu ludzi. Wszyscy gapili się na niego. Byli najbardziej żałosną grupą ludzkich istot, czy jakkolwiek inaczej to określić, z jaką Wyatt kiedykolwiek się spotkał. Przypomniał sobie narzekania Brinny, że ludzie łatwo dostępni, których można było bez trudu złapać, nie wywołując powszechnego alarmu, przeważnie mieszkali w odizolowanych regionach i nie mieli zbyt dużej wiedzy technicznej.

Dostrzegał problem, zgadza się. Z pięciu tutejszych Ziemian jeden był Arabem w brudnym burnusie, drugi wyglądał jak młody Apacz w starych farmerskich łachach, a trzeci, jak się domyślał, pochodził z chińskiego Turkiestanu i cuchnął wielbłądami. Pozostali dwaj byli bliżsi normalności.

Jeden był średniego wzrostu, krępy, z grubą klatką piersiową i cienkimi, mocnymi nogami. Miał na sobie wyblakłe levisy i buty na wysokim obcasie, a jego twarz do połowy czoła spalona była na ceglastoczerwony kolor. Powyżej tej granicy skórę miał białą jak niemowlę. Nad jego koją wisiał na kołku kapelusz Stetsona. Piąty człowiek, siedzący obok niego, ulepiony był z tej samej gliny, ale z jakąś różnicą. Wyatt przez chwilę zastanawiał się nad tą zagadką, a potem przypomniał sobie, jak kiedyś oglądał australijski film z wysokim, chudym, kościstym aktorem nazywającym się Chips Rafferty, grającym rolę pastucha, i pomyślał że chyba zna już odpowiedź.

Pozostałych sześciu ludzi w pokoju nie pochodziło z Ziemi.

Pozostałych sześciu ludzi w pokoju nie byli to ludzie.

A przynajmniej nie w takim sensie, w jakim Wyatt był przyzwyczajony do myślenia o człowieku, homo sapiens, o możliwej do prześledzenia dobrze udokumentowanej przez skamieniałości ścieżce pochodzenia, poprzez różne formy anthropów, aż ostatecznie do jego pierwotnego przodka. Ta szóstka chodziła wyprostowana, wszyscy mieli gładkie dłonie, humanoidalne ciała i całkiem przystojne twarze, ale bez względu na to kim był ich pierwotny przodek, nie był on podobny do przodka człowieka. Pozostawił im w dziedzictwie włosy na całym ciele, których nie można było nazwać inaczej niż futrem, ich czaszki były raczej wydłużone niż wysoko wysklepione, a na zakończeniach palców nadal zachowały się archaiczne pazury, które po kociemu mogły chować się w ciele. Kocie istoty, pomyślał Wyatt, to było dobre określenie – lecz nie całkiem po ziemsku kocie. Ich uszy były zbyt okrągłe, oczy zbyt duże, ciemne i zdolne do wyrażania ciepła. Nosiły szaty z delikatnej tkaniny o jasnych barwach, które podkreślały ich indywidualne kolory, a pod względem wielkości i budowy twarzy różniły się od siebie tak samo, jak ludzie na Ziemi.

Patrzyli na Wyatta, siedząc w dwóch rzędach na brzegach swoich prycz. Ziemianie również wpatrywali się we Wyatta. I w żadnych oczach, ludzkich czy też humanoidalnych, nie było widać nawet iskierki życzliwości.

Wyatt rzucił im:

— Cześć.

Nie było odpowiedzi. Krępy człowiek i jego długi, szczupły towarzysz, wstali, każdy z nich podciągnął spodnie i zostawił kciuki dłoni niedbale wsunięte za pas.

— Posłuchajcie — oznajmił zirytowany Wyatt. — Nie znalazłem się tutaj, dlatego że chciałem, ale nie mam też ospy ani krztuśca i nie skrzywdziłem niczyjej siostry.

Obaj mężczyźni zaczęli powoli posuwać się do przodu. Młody Apacz wstał i ruszył za nimi, a w jego oczach błysnął ciemny ogień. Arab również się podniósł, następnie Turkmen, a potem ze swoich prycz jeden po drugim poderwało się sześciu gibkich porośniętych futrem ludzi, i wszyscy bez słowa ruszyli w stronę Wyatta.

Zimny dreszcz strachu ścisnął mu serce. Oparł się plecami o drzwi i zbierał siły.

— Co to na znaczyć? — powiedział. — Co wy robicie? Jestem Ziemianinem, więźniem tak jak wy. Dlaczego…

— Nie jesteś żadnym Ziemianinem — oznajmił krępy mieszkaniec południowego-zachodu, bardzo zimnym, łagodnym głosem. — Jesteś kolejnym cholernym, śmierdzącym szpiegiem.

Zaatakowali go wszyscy razem z błyskawicznym, wyrachowanym pośpiechem.

ROZDZIAŁ VI

Zamiast skulić się przy drzwiach lub próbować wydostać się z pokoju, tak jak tego oczekiwali, Wyatt rzucił się prosto na człowieka w levisach. Łatwo go było dopaść, ponieważ o jakiś krok wyprzedzał pozostałych. Wyatt uderzył go z całej siły.

— Szpieg, co? — warknął. Wpadł w prawdziwy szał. Tłum zamknął się wokół niego, ale złapał krępego kowboja, który parsknął w odpowiedzi na jego słowa, sczepił się z nim i przewrócili się, zmagając się i kopiąc, kotłując się między nogami pozostałych. — Ja ci pokażę, kto tu jest szpiegiem — wydyszał.

Wysoki człowiek, którego wziął za Australijczyka, schylił się i zaczął go ciągnąć, ale Wyatt kopnął go mocno w golenie.

— Pojedynczo, drogi panie. Zabieraj stąd swoje łapska.

Przetaczał się ze swoim przeciwnikiem, waląc pięściami w jego żelazne ciało, aż w końcu dostał zawrotu głowy. Zaczął kląć. Nigdy nie przepadał za przeklinaniem, ale niesprawiedliwość ataku na niego, zainspirowała go bardziej niż zwykle. Bez przerwy walił pięściami i przeklinał, aż po chwili zdał sobie sprawę, że jego cel zniknął mu już z zasięgu oraz że pozostał sam, w niewielkim kręgu ludzi, którzy mu się uważnie przyglądali. Przykucnął, mrugając oczyma, i zobaczył jak mężczyzna w levisach ociera krew z ust wierzchem dłoni i patrzy na niego z namysłem.

— A więc jestem takim-to-a-takim włóczęgą w siodle, co? — zauważył kowboj.

— Tak, i to głupim jak but — odparł z goryczą Wyatt.

Wstał, zaciskając pięści.

— A teraz gadaj szybko — powiedział właściciel kapelusza — kto zginął w Alamo?

— Davy Crockett — odparł Wyatt. — Król dzikiego pogranicza. Także William Barret Travis, Jim Bowie oraz wielu innych dobrych ludzi, o których nigdy nie pisano pieśni. Daj spokój, dokończmy to.

— Nie — oznajmił jego rozmówca, cofając się. — Nie sądzę, by ktokolwiek oprócz prawdziwego Ziemianina mógł tak kląć bez zająknięcia, albo tak walczyć. Co na to powiesz, Bill?

Australijczyk stwierdził, że się zgadza.

— Nazywam się A.C. Burdick — powiedział kowboj, wyciągając rękę — i jestem daleko od domu. Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłem, ale mieliśmy tutaj trzech gości z rzędu, którzy twierdzili, że są takimi jak my jeńcami, tyle że wcale nimi nie byli, i mamy już tego dość.

Wciąż naburmuszony Wyatt uścisnął dłoń jego, a potem Australijczyka. Arab i Turkmen mruknęli i wrócili na swoje miejsca, najwyraźniej rozczarowani, że nie doszło do rozlewu krwi. Młody Apacz stał bez mrugnięcia okiem i mierzył Wyatta wzrokiem spod ronda zatłuszczonego kapelusza.

— To jest Bezimienny — powiedział Burdick, szczerząc się. — Nocował na wzgórzach, kiedy go złapano – wiesz, niektórzy z nich nadal odkrywają swoje imię wojownika, zyskując je we śnie, w dawny sposób. Uważa, że to wszystko jest częścią snu i czeka, aż się obudzi.

Wyatt skinął głową Bezimiennemu, który krótko odpowiedział mu kiwnięciem głowy, i wrócił na swoją pryczę, gdzie usiadł ze skrzyżowanymi nogami, cierpliwie rozmyślając.

Burdick przeszedł z ojczystego języka na język Uryx i powiedział:

— Ci dżentelmeni są z Alfa Centauri Cztery.

Owłosieni, smukli ludzie złożyli ręce i unieśli je do piersi. Jeden z nich, kruczoczarny i ubrany w szkarłatną tunikę, odpowiedział w tym samym języku:

— Nazywam się Thurne z Obran, jestem posłańcem króla. Zostałem zabrany, gdy przekraczałem równinę, przekazując wiadomość między królami. Teraz będzie wojna dla wszystkich.

Pozostali przytaknęli ze smutkiem. Wyatt, zapomniawszy już o całym swoim gniewie, powiedział:

— Tak, i dla mojego świata również.

— Cóż — powiedział Burdick — wejdź i czuj się jak u siebie.

Dni, które nastąpiły potem, były dla Wyatta koszmarem, niezbyt rozciągniętym w czasie, ale intensywnym. Z najwyższym wysiłkiem trzymał język za zębami, kiedy rozmawiał z innymi, wiedząc że każde jego słowo jest słuchane przez innych. Arab, Turkmen i Bezimienny czekali na to co się wydarzy, każdy z własnym rodzajem fatalizmu, ale Burdick i Australijczyk lepiej rozumieli sytuację i gorączkowo chcieli coś zrobić. Chciałby oferować im słowa otuchy, ale nie odważył się. Co do ludzi z Alfa Centauri, Wyatt zdawał sobie sprawę, że nie ma dla nich nadziei, i oni również o tym wiedzieli. Z każdą mijającą godziną, w miarę jak flota pokonywała kolejne mile, Wyatt coraz bardziej pragnął by Varsekowi przydarzyło się coś złego, i to na dobre.

Pragnienie to pozostawało jednak tylko pustym życzeniem. Natomiast Wyatt nieustannie był zabierany od innych i przesłuchiwany, przesłuchiwany i jeszcze raz przesłuchiwany, aż do czasu gdy przepełniało go tak ogromne oszołomienie i zmęczenie, że nie był już w stanie formułować słów. Starał się nie wyjawić żądnych informacji, ale oni byli ekspertami w tych sprawach, i podejrzewał że dowiedzieli się niemal tyle

samo, jeśli nie więcej, z tego czego nie chciał im powiedzieć, niż z tego co im powiedział. Jego jedyną pociechą był fakt, że nie miał żadnej wiedzy na temat broni i kwestii obrony, poza tym co mógł przeczytać z gazet każdy zwykły obywatel. To samo niewątpliwie już dawno przeczytał także i wywiad floty.

Silił się by przejść przez to wszystko najlepiej jak potrafił i czekał na wiadomości od Brinny.

Te zaś nie nadchodziły.

Zamiast nich pojawił się Makvern. Oznajmił:

— Varsek chce cię widzieć.

Wyatt poszedł z nim i żwawym krokiem przemierzali kolejne korytarze.

— Czego on ode mnie chce? — spytał Wyatt.

— Sam będziesz musiał go o to zapytać — odparł Makvern.

— Czy Loran nie żyje?

— Tak. Nie żyje.

— Czy coś powiedział?

— Nie.

— W takim razie Druga Partia jest nadal bezpieczna.

— Na razie — powiedział Makvern. — Tylko na razie. — Nie odwrócił się, żeby spojrzeć na Wyatta. Jego oglądana z boku twarz, była równie pozbawiona wyrazu, jak głowa króla wybita na monecie.

Wyatt wahał się co do wykonania kolejnych kroków, wiedząc, że jeśli się pomylił, prawie na pewno wyląduje w zagłębieniu, a Ziemia z pewnością znajdzie się w gorszej sytuacji niż kiedykolwiek wcześniej. Wreszcie, biorąc pod uwagę co może zyskać jeśli słusznie się domyślał, zdecydował się.

— Druga partia — powiedział, — mogłaby przejąć władzę, gdyby Varsek poniósł na Ziemi poważną porażkę. Wtedy mogłaby wycofać grupę bojową i wrócić do domu. Mogłaby zacząć eksportować z Uryx niektóre rzeczy, takie jak pokój i stabilny rząd, zamiast importować tylko łupy.

Makvern szedł dalej energicznie, nie oglądając się ani na prawo, ani na lewo.

— W jaki to niby sposób, Ziemia mogłaby zadać Varsekowi porażkę? — zapytał.

— Wyślij część z nas z powrotem na Ziemię, przed flotą, aby przesłać ostrzeżenie.

— Ta rozmowa — oznajmił spokojnie Makvern — może doprowadzić do śmierci twojej, i prawdopodobnie wielu innych ludzi. Proponuję, żebyś skończył.

Ton jego głosu był twardy, idealnie zimny i pozbawiony elastyczności. Serce Wyatta zamarło. Jego domysły były więc błędne, a Makvern nie należał do podziemia. A jednak wydawało mu się to tak samo pewne, jak wygląd Makverna, kiedy patrzył na cierpiącego w zagłębieniu Lorana…

Ordynans wprowadził ich do ogromnego pokoju, który najwyraźniej służył jako zewnętrzne biuro, pełne sprzętu komunikacyjnego, rejestratorów, plików elektronicznych i zapracowanych ludzi. Drugi ordynans otworzył im wewnętrzne drzwi i Wyatt zauważył, że patrzy na Varseka, tak jak wtedy gdy zobaczył go po raz pierwszy, na ekranie

komunikacyjnym, siedzącego za wielkim, zawalonym rzeczami biurkiem, z rozpiętą koszulą i podwiniętymi rękawami – obraz demonicznej energii.

Skinął głową i Makvern cofnął się trochę, zostawiając Wyatta samego przed Varsekiem. Varsek podniósł raport i potrząsnął nim.

— To od wywiadu — poinformował. — Nie jest satysfakcjonujący. Nie współpracujesz, Wyatt.

— Czyżby spodziewał się pan, że będę? — odparł Wyatt.

— Spodziewam się, że nie będziesz głupcem — powiedział Varsek. — Posłuchaj, mam zamiar splądrować twoją planetę. Wiesz o tym, prawda? W porządku. Teraz pomyśl, jeśli dowiem się, gdzie są różne rzeczy, nie będę musiał niszczyć wielu innych rzeczy, próbując je odnaleźć, nieprawdaż? A jeśli nie będzie prób oporu, nikt nie dozna żadnych krzywd, czyż nie tak? — Rzucił raport na biurko. — Nie pomagasz Ziemi, tylko utrudniasz jej sprawę.

— Od początku wszystkim mówiłem — oznajmił ponuro Wyatt, — że nie wiem nic więcej, niż sami moglibyście się dowiedzieć, czytając popularne czasopisma.

— Jesteś miejscowy. Wiesz o wszystkim więcej, niż my moglibyśmy się dowiedzieć, w czasie jaki mamy do dyspozycji, no i masz zaplecze naukowe. Musisz na przykład wiedzieć, choćby w przybliżeniu, gdzie znajdują się największe złoża uranu i jakie są główne źródła radioaktywnych izotopów. Jednakże odmawiasz weryfikacji naszych informacji lub poprawienia ich, jeśli są błędne.

— Zgadza się — oświadczył Wyatt. — Odmawiam.

— Odważny i uparty — stwierdził Varsek. — No cóż. Wiem, jak bardzo jesteś uparty. Mogłabym bardzo szybko zorientować się, co do odwagi.

— W zagłębieniu?

Varsek skinął głową.

— A co byś ty na to powiedział, Makvern?

— To zależy od pana, sir — odparł Makvern, wzruszając ramionami.

— W ogóle nie masz żadnego zdania?

— Żadnego.

— To do ciebie niepodobne, Makvern.

— Nie mogę mieć żadnej wartościowej opinii na temat celowości… eee… przesłuchania człowieka, którego w ogóle nie znam. Nie mam pojęcia co do jego granic wytrzymałości. Jeśli łatwo je osiągnąć, to dobrze. Jeśli nie, prawdopodobnie umrze, zanim je pan pozna.

— To prawda — przyznał Varsek. — To prawda. I jest najlepszym człowiekiem, do przekazania Ziemi przekonującej wiadomości, kiedy nadejdzie właściwy czas, zapewniając ich o daremności oporu.

Odchylił się w krześle i w zamyśleniu podrapał się po klatce piersiowej, przyglądając się Wyattowi bystrymi, zimnymi oczyma, a Wyatt poczuł niepokojące wrażenie, że Varsek myśli szybko o wielu rzeczach, które są tylko w niewielkim stopniu z nim związane, za wyjątkiem tego, że mogą mieć pośredni wpływ na jego życie lub śmierć.

— No cóż — stwierdził w końcu Varsek — na użycie zagłębienia, zawsze będzie jeszcze czas. Będziemy więc postępować zgodnie z ustaloną procedurą. Postaraj się, aby Wyatt i inni Ziemianie mieli dobry, jasny obraz tego, co się stanie, gdy uderzymy na Alfa Centauri Cztery, co będzie miało miejsce… — zmarszczył brwi, patrząc na zamontowane przy biurku chrono — …za około pięć godzin. Chcę, żebyś wszystko uważnie obserwował, Wyatt. Ta planeta nie jest tak bardzo zmechanizowana, jak spora część twojej i nie posiada energii jądrowej, ale jest cywilizowana. Pamiętaj o tym. I pamiętaj, że wasza broń nuklearna nie będzie dużo bardziej skuteczna przeciwko nam, niż ich wybuchowe wynalazki.

Kiwnął kciukiem w stronę Makverna.

— Zabierz go stąd teraz. Mam jeszcze połowę tej kampanii do zaplanowania, zanim zacznę się martwić o następną.

Nagle zrobił się szaleńczo zajęty. Makvern wyprowadził Wyatta na korytarz. Tym razem po drodze Wyatt w ogóle się nie odezwał, tak samo jak Makvern. Rozstali się przed drzwiami kwater dla więźniów.

Kolejne pięć godzin ciągnęło się dłużej niż pięć wieków. Brinna mówiła mu, że jedyną szansą na ucieczkę będzie zamieszanie związane z atakiem. Nie wiedział, czy w ogóle była w stanie cokolwiek zorganizować a gdyby nawet, to czy nie wzbudził podejrzeń ze strony Makverna i nie zrujnował całej sprawy, próbując zawrzeć lepszy układ dla Ziemi za pośrednictwem Drugiej Partii. Obgryzał paznokcie, denerwował się i rozmyślał o szalonych planach ucieczki na własną rękę, ale nie mógł nic zaplanować z Burdickiem i Australijczykiem, ponieważ zostaliby podsłuchani lub podpatrzeni.

Pozostali Ziemianie byli niespokojni i zdenerwowani, jakby wyczuwali nadchodzący kryzys. Dla kontrastu, Alfa Centaurianie czekali w spokoju. Tylko oczy świeciły im strasznym światłem. Na Boga, pomyślał z wściekłością Wyatt, zabiję Varseka własnymi rękami, jeśli mi się uda, przysięgam. To było dziecinne nawet dla niego samego, i dobrze z tego zdawał sobie sprawę. Ale nigdy, niczego nie pragnął aż tak bardzo.

Grupa bojowa pędziła dalej, jak stado orek sunących w stronę niczego niepodejrzewającej ofiary.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Brinna. Za nią widać było strażników.

— Chodźcie ze mną — powiedziała. — Wszyscy.

Odsunęła się na bok, podczas gdy więźniowie wychodzili. Kiedy Wyatt ją mijał, rzuciła mu szybkie, przelotne spojrzenie. Pojawiła się w nim nadzieja. Brinna coś przygotowała i cokolwiek to było, on oraz inni więźniowie dopilnują, żeby zakończyło się to sukcesem.

Poprowadzono ich pod strażą korytarzami do śluzy kontaktowej, gdzie pod kadłubem okrętu flagowego, jak przyssana do wieloryba remora, wisiał niewielki statek. Tutaj zostali podzieleni na dwie grupy. Alfa Centaurianie zostali wysłani jako pierwsi. Wyatt usłyszał brzęk metalu, a następnie na dół zostali skierowani Ziemianie. Umieszczono ich w półkolistym pomieszczeniu, które zajmowało połowę wieżyczki

obserwacyjnej. Alfa Centaurianie znajdowali się w drugiej połowie, w pełni widoczni, ale bezpiecznie odgrodzeni metalowymi prętami.

Podobne pręty wślizgiwały się właśnie w szczeliny w pokładzie, także za Ziemianami. Wyatt został przy wejściu. Słyszał, jak Brinna odprawia strażników. Ich stopy tupały o szczeble drabinki, kiedy wchodzili do góry, na statek flagowy. Brinna doszła do końca korytarza i zatrzymała się po drugiej stronie krat. Rozpłomieniona była podnieceniem, triumfem, nienawiścią i wieloma innymi rzeczami, które się w niej dusiły i które odważyła się teraz ujawnić.

— Wszystko jest przygotowane — oznajmiła, mówiąc szybko, ale przyciszonym głosem. — Cała załoga, poza dwoma marynarzami, to moi ludzie. Kiedy opuścimy statek, przekaż po cichu wiadomość, żebyście byli gotowi, kiedy…

Urwała, odwracając się, a na jej twarzy nagle pojawił się niepokój. Ktoś schodził po drabince ze statku flagowego.

To był Makvern, schodził szybko i trzymał w dłoni ogłuszacz.

Brinna opanowała się w podziwu godny sposób. Powiedziała:

— Czy mamy jakieś kłopoty, Makvern? Wszyscy więźniowie są zabezpieczeni…

— Jestem pewien, że tak — odparł Makvern.

Dotarł do podnóża drabiny i w tej samej chwili pojawił się oficer, jakby na niego czekał. Makvern skinął pośpiesznie głową, niemal natychmiast zabrzmiały dzwonki ostrzegawcze i zasunął się właz.

Chwilę później Wyatt poczuł szarpnięcie otwierających się uchwytów i mały statek leciał samodzielnie o własnych siłach.

Makvern stał przez chwilę, patrząc na Brinnę i Wyatta.

— Wyobrażam sobie — rzekł do Wyatta — że opowiadała ci, jakoby większość ludzi na pokładzie należało do niej. Odrobinę się pomyliła. Oni wszyscy należą do mnie.

ROZDZIAŁ VII

Twarz Brinny zrobiła się nagle zupełnie biała, a jej czerwone usta wyglądały na jej tle jak poplamione krwią. Jej dłoń opadła na uchwyt własnego ogłuszacza.

Prawie jej się udało, ale nie do końca. Makvern trafił ją w środek ciała trzaskającym wyładowaniem, a ona upadła i leżała bez ruchu, pozbawiona przytomności.

Makvern westchnął.

— Biedna Brinna. To tak, jakby wyrywać jedzenie komuś, kto umiera z głodu – prawie jest mi jej żal…

— Pewnie, założę się że jest ci jej żal, jak jasna cholera — wycedził Wyatt.

Gdyby był w stanie przełożyć dłonie między prętami i zacisnąć je wokół gardła Makverna, zabiłby go natychmiast. Burdick i Bill Whitfield, Australijczyk, dołączyli po chwili do niego i Whitfield zapytał:

— Co się dzieje?

— Nic — odparł Wyatt z intensywnym rozgoryczeniem. — Dzięki mnie nic, do cholery. Musiałem być sprytny.

Świadomość własnej głupoty budziła w nim mdłości. Zaryzykował odkrycie się przez Makvernem, w nadziei że tamten uratuje Ziemię przed jakimkolwiek atakiem, i oto co z tego wynikło. On i Brinna pójdą teraz razem do zagłębienia, a to co miało stać się z Ziemią, stanie się.

Odepchnął Burdicka na bok, przeszedł przez wąskie pomieszczenie do zakrzywionej ściany po drugiej stronie, wyłożonej szklanymi płytami, i stanął przy nich. Reszta zostawiła go samego.

Słyszał jakiś ruch i głosy na korytarzu, ale nie zwracał na nie uwagi. Nic teraz nie było ważne. Wyjrzał w kosmos, oświetlony złowrogim światłem dwu bliźniaczych słońc, i zobaczył całą wielką grupę bojową rozpościerającą się między nim, a gwiazdami w górze. Niszczyciele krążyły z przodu, przed siłami głównymi, ich kadłuby błyszczały jasno, pięknie, jak szybkie, śmiercionośne, włócznie z brązu. Włócznie do mordowania planet.

Mały statek, w którym był uwięziony wraz z innymi ludźmi, schodził poniżej floty. Niezwykle trudno było ocenić prędkości tutaj, gdzie nie było żadnych punktów odniesienia, poza gwiazdami, ale Wyattowi wydawało się, że grupa bojowa musiała zwolnić już pewien czas temu, zbliżając się do swego celu, oraz że mały statek poruszał się znacznie szybciej niż siły główne. Przyglądał się temu nieobecny duchem, tylko dlatego że statki wisiały przed jego oczami, ale stopniowo zaczął zdawać sobie sprawę, że ten mały statek prowadzi wszystkie inne do walki.

— Jak cholerny przewodnik stada — mruknął.

Nagle obok niego odezwał się Burdick.

— Zabrali tę panią oficer — powiedział. — Zdaje się, że ma kłopoty?

Wyatt odparł:

— Najgorszego rodzaju. Chciała nam pomóc w ucieczce.

Burdick powiedział z tonem przebiegłości w głosie:

— Bill i ja doszliśmy do wniosku, że chodzi o coś takiego. Szkoda, że się nie udało.

Wyatt wyjaśnił, dlaczego się nie udało.

— Powinienem zadowolić się tym, co udało się uzyskać. Ale pomyślałem sobie, że jeśli… och, do licha, jaki sens ma teraz rozpamiętywanie tego wszystkiego! — Popatrzył na stalowe pręty, które oddzielały ich od mieszkańców Alfa Centauri. — Gdybyśmy tylko mogli usunąć te kraty, połączyć się razem, cała nasza dwunastka – może nadal bylibyśmy w stanie coś zdziałać. To mały statek. Nie mógłby pomieścić zbyt licznej załogi, prawdopodobnie nie więcej niż pięć lub sześć osób, nie licząc Makverna. Gdybyśmy udało nam się ich zaatakować i zająć statek, moglibyśmy zmusić ich, żeby polecili nim na Ziemię…

Próżne marzenia. Głupie gadanie, bełkot desperata. Z drugiej strony, co mieli do stracenia?

Oczywiście swoje życia. Ale to już była cholernie indywidualna rzecz. Dla Wyatta zagłębienie nie było specjalnie kuszącą perspektywą.

A gdyby im się udało – gdyby...

— No dobra — stwierdził Whitfield, — zróbmy nawalankę.

Skinął palcem na Araba, Turkmena i Bezimiennego.

Na statku kosmicznym, pośród niesamowitej panoramy kosmosu i pędzącej floty wojennej, malującej się ma panelach obserwacyjnych, sześciu Ziemian odbyło naradę, rozmawiając ze sobą nie w swoich różnych ziemskich językach, ale w języku Uryx, gwiazdy, której nigdy nie widzieli na oczy, i nawet nie wiedzieli że ona istnieje, dopóki nagle nie stała się najważniejszą sprawą w ich życiu.

Narada była krótka. Kiedy było już po wszystkim, Wyatt i Burdick podeszli do ściany z prętów i zaczęli rozmawiać z ludźmi z Alfa Centauri.

W imieniu ich wszystkich mówił Thurne z Obran.

— Będziemy walczyć — oznajmił. — Będziemy walczyć z prawdziwą ochotą. — Odwrócił się i wskazał coś na niebie, a jego oczy zapłonęły gwałtownym ogniem, który nadawał mu wygląd bardziej podobny do czarnej pantery niż człowieka. Wyatt podążył wzrokiem za jego ręką i zobaczył mglistą, niebieską planetę pędzącą w ich stronę w złocistym blasku głównej gwiazdy układu.

Burdick stwierdził trzeźwo:

— Zanim zaczniemy jakąkolwiek walkę, musimy się stąd wydostać, więc lepiej zacznijmy szukać dziur w naszych zabezpieczeniach.

Zaczęli więc szukać. Nie mieli możliwości sprawdzenia, czy są pod obserwacją, tak jak to było na statku flagowym, ale musieli zaryzykować. Przetestowali każdy z prętów szukając w nich słabego punktu, ale na próżno. Próbowali siłą i sprytem, lecz nie było żadnego sposobu na ich pokonanie. A niebieska, mglista planeta zbliżała się coraz bardziej i powiększyła się do rozmiarów ogromnego globu. Jej niebieski kolor zbladł, przechodząc w zielenie, brązy i ochry, poznaczone ostrzejszymi plamami błękitu wody. Rozległ się piskliwy wizg, który zaczął przybierać na sile. Blask słońca został zmiękczony przez warstwę powietrza, a gwiazdy zgasły. Chmury śmigały, przymykały koło nich i znikały, a szaleńczy pęd w dół zatrzymał się nagle w miejscu. Statek zawisł na zielonkawym niebie, zaś w dole rozciągała się żółta pustynia, pokryta piaskami i skalnymi odłamkami. Pustynię przecinał wąwóz, z rzeką na dnie, a w miejscu, gdzie rzeka opuszczała wąwóz na skraju pustyni, widać było zieloną, najpiękniejszą krainę pełną niewielkich strumieni i migoczących jezior, pełną sadów o dziwnych barwach i różnokolorowych pól. Pośrodku zaś położone było miasto.

— Obran — powiedział Thurne.

Wyatt chwycił dłońmi pręty i napiął się, aż żyły na jego czole spuchły, a twarz zrobiła się szkarłatna.

Nie udało mu się ich poruszyć, ale inne pręty, które zagradzały im drogę na korytarz, nagle wsunęły się w sufit i przed nimi stanął Makvern, z innym oficerem za swymi plecami.

Makvern zdążył tylko powiedzieć:

— Wyatt…

Ale Wyatt już obrócił się na pięcie i rzucił się na Makverna, jak szarżujący byk.

Staranował go i wepchnął do tyłu, na drugiego oficera. Nastąpiła chwila szalonego zamieszania, w czasie której Burdick, Whitfield i pozostali przepchnęli się przez przejście i rzucili w wir walki. Wyatt był świadom tylko jednej rzeczy, a mianowicie tego, że powalił Makverna i zamierza go zabić, zaś świadomość ta była niesamowicie przyjemna. Następne co do niego dotarło, to szarpiący go Whitfield, który mówił coś o tym, że potrzebują kogoś na później. Wyatt pozwolił się odciągnąć i walka dobiegła końca. A przynajmniej ta jej część.

Burdick podniósł Makverna na nogi i przytrzymał go z ręką wykręconą za plecami. Turkmen metodycznie dusił drugiego oficera, aż Wyatt podszedł do niego i kazał mu przestać, wyjaśniając, że ten człowiek może być im potrzebny do pilotowania statku. Potem odwrócił się z powrotem do Makverna, który mocno potrząsał głową, żeby przejaśnić umysł.

— Weźcie ich ogłuszacze i trzymajcie straż — powiedział Wyatt do Burdicka i Whitfielda. — Bezimienny, ty go trzymaj. Dobrze. Nie obawiaj się lekko go uszkodzić – przypomnij sobie Cochise'a. — Następnie zwrócił się do Makverna. — Jak podnieść tę barierę?

Wszyscy ludzie z Alfa Centauri byli stłoczeni przy niej, próbując zobaczyć, co się dzieje.

Makvern powiedział:

— Podniosę ją sam, za chwilę. Boże, Wyatt, czy ty nigdy nie pomyślisz, zanim się na kogoś rzucisz z pięściami?

— Myślałem — odparł Wyatt. — Sporo. Gdzie są te urządzenia sterujące? I gdzie jest Brinna?

Skinął głową Bezimiennego, który zwiększył nacisk na rękę Makverna. Oficer zaczął wyglądać na naprawdę wściekłego. Warknął:

— Przestaniesz na mnie wrzeszczeć i posłuchasz mnie? Jestem po twojej stronie. To ja jestem człowiekiem, za którego zginął Loran. Jestem przywódcą Drugiej Partii!

Drugi oficer, który w końcu odzyskał odrobinę głos, po poturbowaniu przez Turkmena, wychrypiał:

— Wkrótce będziesz przywódcą niczego, jeśli nie rozpoczniemy szybko tej transmisji. Statek flagowy już raz nas wypytywał. Jeśli Varsek nie znajdzie cię nigdzie indziej we flocie, a my nie będziemy zachowywać się tak, jak powinniśmy…

Makvern spojrzał gniewnie na Wyatta.

— I co? Nadal chcesz lecieć na Ziemię, czy wolisz towarzyszyć Brinnie i mnie w zagłębieniu?

Wyatt polecił Bezimiennemu:
— Puść go.
— Dzięki — odparł kwaśno Makvern. — To zaczyna wchodzić ci w nawyk. Chętnie bym ci wcześniej powiedział, że plany są już gotowe, ale nie sądziłem, żeby to było rozsądne posunięcie. Varsek jest nieprzewidywalny. Mógł cię posłać do zagłębienia…
— Tak — stwierdził Wyatt. — Byłeś tam u niego bardzo pomocny. Nie mam zdania. Mogłaś przynajmniej powiedzieć „nie".
— Gdybym to zrobił, znalazłbyś się w zagłębieniu w ciągu pięciu minut. Ja w każdym razie, balansowałem na jego krawędzi już od tygodni. Musiałem jednak wytrzymać aż do tej chwili.
— A więc pozwoliłeś Brinnie, żeby zrobiła coś podobnego na własną rękę, dzięki czemu cię kryła?
— Tak. To ją trochę zajęło, a Varsek nie wiedział co o mnie myśleć. Całkiem nieźle się to udało. Większość ludzi Brinny to tak naprawdę ludzie z Drugiej Partii, chociaż będzie to dla niej wstrząs, kiedy się o tym dowie. Nie mogliśmy ryzykować wymiany Varseka na jakiegoś innego pełnego ambicji wodza, nawet jeśli był on kobietą i to ładną.
Przeniósł się do komory obserwacyjnej i zaczął mówić zarówno do ludzi z Alfa Centauri, jak i Wyatta oraz Ziemian.
— Wasz pomysł ostrzeżenia Ziemi i wykorzystania poniesionej tam porażki, do przejęcia przez nas władzy – modyfikacja planu, który przyszedł do głowy Brinnie – nie był zły, poza jedną wadą, że nie możemy tak długo czekać. Varsek został zaalarmowany. Gotów jest posłać na męki całą flotę, żeby nas wykorzenić. Chętnie byśmy wszystko odłożyli, do czasu kiedy nie będziemy trochę silniejsi. Flota od tak dawna jest już z dala od domu, że wśród ludzi rośnie niezadowolenie – moglibyśmy zbić na tym nasz kapitał polityczny. Ale nie mamy wyboru. Jeśli nie ruszymy teraz, nieuchronnie zostaniemy zniszczeni. Tak więc wykonamy nasz ruch na Alfa Centauri.
— W jaki sposób? — zapytał Wyatt.
— Bunt na pełną skalę jest wykluczony. Wszystko tutaj pójdzie dobrze, opór będzie mało efektywny i zdobędziemy mnóstwo łupów. W takich okolicznościach ludzie niechętnie wyrzucają swojego przywódcę. Nie możemy liczyć na przejęcie całej floty. Kiedy statki wylądują i naziemna faza ataku będzie w toku, oddzielimy się od głównych sił i przejmiemy tyle niszczycieli, ile tylko nam się uda. Każdy kto będzie chciał, może polecieć z nami – w gorączce po udanej bitwie, obawiam się jednak, że chętnych nie będzie zbyt wielu. Potem… — Makvern wzruszył ramionami. — Jest za dużo zmiennych. Nie wiem.
— Czy możecie pomóc mojemu światu? — zapytał Thurne. — Mojemu miastu?
Makvern odparł ze smutkiem:
— Nie będę was okłamywał. Nie. Z wyjątkiem tego, że Varsek będzie miał mniej ludzi i statków, nie możemy wam pomóc. Nie jesteśmy wystarczająco silni.
— A poza tym nie moglibyście w tej chwili podjąć walki z własnymi towarzyszami — zauważył Thurne.

— Nie w tych okolicznościach, to niemożliwe. To byłby zbyt otwarty cios w plecy i stracilibyśmy wszelkie szanse, aby kiedykolwiek zyskać ich poparcie. Wszystko, co mogę wam zaoferować, Thurne, to nadzieja zemsty i obietnica, że jeśli wygramy, dokonamy każdego zadośćuczynienia, jakie będzie możliwe.

— A co z nami? — zapytał Wyatt. — A co z Ziemią?

— Wyślemy was tam. Jeśli Varsek będzie wystarczająco mocno wstrząśnięty buntem, może nie będzie potrzeby aby kogokolwiek ostrzegać. Jeśli nie… no cóż, jego siły będą słabsze o to, co zdołamy mu wyrwać.

Wyatt popatrzył na pozostałych i stwierdził:

— To uczciwe postawienie sprawy.

Makvern zwrócił się do mieszkańców Alfa Centauri, którzy naradzali się między sobą.

— Varsek już od pewnego czasu szuka mnie w całej flocie. Powiedziano mu, że tutaj mnie nie ma, ale jeśli cokolwiek w wymaganych rutynowych procedurach tego statku będzie nie tak, natychmiast wyśle oddział, aby go przeszukał i to będzie koniec zarówno mnie jak i buntu. Co powiesz, Thurne? Czy mogę podnieść słupki, jak między towarzyszami, czy też nadal mam was traktować jak jeńców?

Thurne odparł:

— Podnieś je. Przeciwko Varsekowi, zrobimy wszystko co w naszej mocy.

— Dobrze — oznajmił Makvern. — Dobrze! — Wezwał drugiego oficera i niemal natychmiast stalowe pręty zniknęły im sprzed oczu. — Teraz musimy się pośpieszyć. Thurne, już wcześniej otrzymałeś parę instrukcji. Postępuj zgodnie z nimi. Wiem, że to niesmaczny sposób postępowania dla odważnego człowieka, ale naprawdę będziesz działał w interesie swoich rodaków. Namawianie ich do walki z nami oznaczałoby samobójstwo.

— Pomimo wszystko — odparł Thurne — oni będą walczyć.

Makvern westchnął.

— Zwykle tak jest. Mimo wszystko wygłoś to przemówienie. Po to tutaj jesteśmy. Pamiętaj, że prowadzimy całą flotę, znajdujemy się więc w miejscu, gdzie każdy może mieć nas na oku.

Pokazał niechętnemu człowiekowi z Alfy Centauri gdzie ma stanąć: na podobnym do soczewki kryształowym kręgu na pokładzie, mając taki sam krąg nad głową. Niemal natychmiast obie soczewki pojaśniały, tak że Thurne stał jakby zamknięty w słupie światła.

— Ale — zauważył Wyatt, — oni tam nie mają radia, nie mają żądnych odbiorników. Jego cywilizacja jeszcze ich nie zbudowała. Jak zamierzacie nadawać?

Makvern wskazał jemu i pozostałym Ziemianom panele obserwacyjne po ich stronie celi.

— Popatrzcie — powiedział. — Zresztą dokładnie to właśnie mieliście robić. Przykład wart jest tysięcy słów. Przyszła ofiara robi się bardziej miękka, widząc co stało się z jej poprzednikiem.

Zaczął się odsuwać od okna.

— Naoglądałem się już wystarczająco wiele takich widoków, świat po świecie. Przyprawiają mnie o mdłości. Mam teraz coś do zrobienia. Słuchajcie komunikatów przez interkom i bądźcie gotowi do działania, kiedy wam powiem.

Wyszedł. Thurne stał sztywno wyprostowany, w swoim słupie światła. Statek opadł niżej, nad miasto Obran. Jednocześnie nad nimi w powietrzu zaczęły pojawiać się statki Grupy Bojowej.

Metaliczny głos oznajmił:

— Zacznij mówić, Thurne.

Burdick powiedział nagle:

— Niech mnie diabli. Spójrzcie tam.

W pustym powietrzu nad miastem, przed i pod statkiem, stał gigantyczny trójwymiarowy obraz Thurne'a, wysoki na jakieś trzydzieści stóp, poruszający się powoli, wraz z poruszającym się statkiem. Jego niematerialne stopy ocierały się o szczyty dziwacznie zdobionych wież miasta. Po chwili Thurne przemówił. Echa wibracji jego słów, docierały do nich z zewnątrz przyciszone przez kadłub. Wyatt wiedział, że głos Thurne'a huczący nad Obran, był tak samo silnie wzmocniony, jak pryzmatyczna projekcja obrazu jego osoby. Na zalanych światłem słońca ulicach miasta, pomiędzy wysokimi budynkami, w parkach i wzdłuż rzędów małych domków z cegły mułowej, wszędzie ludzie wybiegali na zewnątrz, by patrzeć w górę, ze strachem i zdumieniem.

Thurne mówił do swoich rodaków, we własnym języku, więc Wyatt nie był w stanie zrozumieć słów, ale z tonu jego głosu i gniewnego błysku obnażonych zębów, wyglądało że nie głosił uległości tak szczerze, jak mógłby to zrobić. Prawdopodobnie grupa bojowa była do tego przyzwyczajona. W tych propagandowych transmisjach nie mogli w pełni kontrolować swoich jeńców. Dawali im szansę i prawdopodobnie owocowało to w postaci wystarczająco dużej liczby kapitulacji, aby można było uznać to za opłacalne. W przypadku bardziej prymitywnych ludzi niż rodacy Thurne’a, już samo pojawienie się nad ich głowami na niebie straszliwego olbrzyma, wystarczyłoby do rozpętania kompletnej paniki.

Na dole, na zalanych słońcem ulicach, tu i ówdzie ludzie zaczęli biegać, wzbijając mgiełkę migoczącego pyłu. Z wież i wysokich murów spoglądały na to miliony wyrzeźbionych niewzruszonych twarzy, twarzy miliona tańczących kamiennych bogów i bogiń.

Flota zeszła w dół z wizgiem lądując pośród sadów i pól, podpalając i miażdżąc wszystko, w miejscach lądowania, wielkim kręgiem wokół miasta. Ludzie uciekali. Nie mieli broni nuklearnej, rakiet ziemia-powietrze ani samolotów. Uciekali ale nie było dokąd uciec. Znaleźli się w potrzasku.

Biedacy, pomyślał Wyatt, i wyobraził sobie, jak w podobnej sytuacji wyglądałyby Nowy Jork lub Waszyngton, z gigantycznym obrazem jego samego, kroczącego po niebie i ryczącego na ludzi, aby się poddali.

Sukces buntu Makverna i wywołanie rozłamu we flocie były teraz jedyną nadzieją, że tak się nie stanie.

— Wydawało mi się — zauważył Burdick — że Thurne był pewien, iż będą walczyć.

— Będą — powiedział Wyatt. — Patrz. Panika już wygasa.

Widać było, że kobiety i dzieci zniknęły z ulic. Grupy mężczyzn nadal biegały, ale ich bieganina była celowa. Nagle z różnych miejsc na obrzeżach miasta buchnęły kłęby dymu i Whitfield powiedział:

— Mój Boże, oni strzelają z armat.

Słup światła zgasł. Postać Thurne'a zniknęła z nieba. Z interkomu dobiegł głos Makverna. Brzmiała w nim nuta determinacji.

— Rozkazano nam natychmiast wylądować obok okrętu flagowego. Oczywiście nie możemy tego zrobić. A jeśli spojrzycie w górę, zobaczycie zbliżające się kłopoty.

Spojrzeli. Dwa małe szybkie statki, lekko uzbrojone, ale wystarczająco ciężko dla statku propagandowego, zmierzały w ich kierunku.

— Będą próbować zmusić nas do lądowania, a ja nie mogę z nimi walczyć w tej balii. Proponuję lądować natychmiast. Mogą być z tym problemy, więc zachowajcie wszelkie środki ostrożności. Wyatt, tu jest zapas ogłuszaczy. Chodź i weź je.

Wyatt ruszył w drogę na mostek. Skrzynia broni bocznej, najwyraźniej prosto ze sklepu, została przemycona na pokład statku propagandowego i ukryta zarówno przed ludźmi Varseka, jak i przed Brinną. Twarz Makverna była mocno ściągnięta z napięcia i ekscytacji. Wskazał Wyattowi skrzynię, a następnie wręczył mu wielki klucz.

— Ona jest w kabinie kapitana – tylko tam jest zamek w drzwiach. Nie dawaj jej broni ani szansy aby mogła narobić kłopotów. Poza tym – zostawiam ją tobie.

— Dzięki — powiedział Wyatt.

Makvern wyszedł w pośpiechu.

Rozbili skrzynię i zaczęli rozdawać ogłuszacze, ale Wyatt nie czekał do końca. Złapał jedną sztukę broni dla siebie, a potem poszedł na poszukiwania kajuty kapitana. Usłyszał narastający zgiełk z pomieszczenia mostka. Statek był nisko, prześlizgując się tuż nad dachami, wykręcał się we wszystkie strony tak gwałtownie, że trudno było ustać na nogach. Dwa ścigające go statki, szybko się zbliżały.

Usłyszał Brinnę, zanim ją odnalazł. Wrzeszczała przez drzwi, domagając się uwolnienia. Wyatt walczył z nieznanym mu zamkiem. Statek kołysał się szaleńczo. Rozległ się huk i trzask jakby praojca wszystkich piorunów. Z metalowych powierzchni wewnątrz statku buchnął niebieski ogień. Na wpół oszołomiony, zobaczył, jak drzwi ustępują pod jego ręką, a potem wydawało mu się, jakby Brinna leciała na niego w powietrzu, z szeroko otwartymi oczami i rozrzuconymi ramionami. Uderzyła go, ale on już i tak padał do tyłu, po tym jak pokład statku wyskoczył mu spod nóg, i razem polecieli na ścianę, która nagle stała się pokładem. Rozległ się ogromny hałas i zgiełk przemieszczających się rzeczy, i jakimś cudem nagle skądś pojawiły się gałęzie drzewa, które

wbiły się w zniszczony otwór wejściowy kabiny kapitana, znajdujący się w tej chwili bezpośrednio nad jego głową.

ROZDZIAŁ VIII

Wyattowi zajęło dłuższą chwilę, zanim zdał sobie sprawę, że wciąż żyje i nie jest nawet ciężko ranny. Nie wiedział co jest z Brinną, ale kiedy zsuwał ją z siebie z ulgą dostrzegł, że się poruszyła. Podniósł się na nogi i pomógł jej wstać. Od strony mostku nadszedł Makvern. Krzyczał i wykonywał ponaglające ruchy. Krwawił z rozcięcia na policzku i miał podartą koszulę munduru. Wyatt pchnął Brinnę w jego stronę i wspiął się po powyginanych ścianach do komory obserwacyjnej.

Burdick, Whitfield i Apacz już czołgali się w jego kierunku. Turkmen ruszył za nimi, ale Arab nie żył, leżał w kącie z wykręconą pod dziwnym kątem głową. Ludzie z Alfy Centauri ponieśli mniejsze szkody. Trzech z nich zostało rannych, ale wszyscy byli w stanie się ruszać. Wyatt krzyknął do nich, żeby wychodzili i szli za nim do miejsca gdzie Makvern i oficerowie z mostka otworzyli właz. W ciągu minuty zeskoczył na dół, z wysokości może ośmiu stóp nad ziemią, na stos połamanych drzew, a pozostali ruszyli za nim, jeden po drugim. Dwa statki, z których jeden zestrzelił ich na ziemię, przemknęły nad nimi i odleciały, przypuszczalnie po to, by zawrócić i wykonać ponowne podejście.

Albo może kolejny atak nie będzie potrzebny.

Rozbili się na obrzeżach miasta, omijając rząd domów z cegły mułowej w kształcie pieców, z okrągłymi ceglanymi dachami. Za nimi na zielonych polach, jak złowieszcze wieże stały statki Grupy Bojowej, wyładowując swoje pojazdy naziemne.

Wyatt słyszał o nich, ale nigdy ich nie widział. Każdy niszczyciel przenosił pewną ich liczbę, aby torowały drogę żołnierzom, na podobieństwo jednostek czołgów, tyle że zupełnie nie przypominały one czołgów. Zbudowane były w formie monstrualnej czerwonej kuli osadzonej na czterech połączonych przegubowo nogach, które były mniej więcej cztery razy wyższe niż wzrost człowieka, tak że kule unosiły się wysoko nad ziemią. Pod spodem zamontowana była mała śruba napędowa, dzięki czemu kule w razie potrzeby mogły zmienić się w amfibie. Kiedy maszerowały na kogoś, wyglądały przerażająco, krocząc z dosyć znaczną szybkością po płaskich polach.

Jakieś dwadzieścia metrów dalej, po prawej stronie huczała i grzmiała bateria trzech małych, lśniących armat, obsługiwanych przez futrzastych ludzi, których odwagę przewyższała jedynie daremność tego co robili.

Makvern zaczął coś mówić. Wyglądał na energicznego i czujnego, jak człowiek znajdujący się w trudnej sytuacji i zdeterminowany aby się z niej wydostać.

— Nasi ludzie mają zebrać się w północno-zachodnim sektorze perymetru. Spróbujemy do nich się przedrzeć. Ten sektor w którym teraz jesteśmy, oznaczony jest jako północno-wschodni i jesteśmy dosyć blisko jego środka, tak więc mogło być gorzej. Trzymamy się razem i poruszamy się szybko.

Brinna oznajmiła zupełnie lodowatym tonem:

— Uważajcie, zaczynają podchodzić w zasięg strzału.

Zaczęli biec, oddalając się od rozbitego statku i kierując się w stronę rzędu domów, trzymając się w grupie i spoglądając ostrożnie za siebie przez ramię. Wydawało się, że szczególnie jedna z kul zdecydowanie za nimi podążała – prawdopodobnie otrzymała taki rozkaz po rozbiciu się statku. Teraz Wyatt wyraźnie już widział krąg kolistych pokryw wokół jej wierzchołka, i zauważył, że jedna z nich się odsunęła. Z powstałego otworu, na elastycznym uchwycie, kołysząc się w sposób podobny do głowy zaciekawionego ptaka o długiej szyi, wysunęło się coś przypominającego duże działko, czy też emiter. Nagle wycelowało ono prosto w nich i wystrzeliło w ich stronę jaskrawe, białe wyładowanie. Odskoczyli, by ukryć się między domami, ale strzał był za krótki. W miejscu, gdzie uderzył w ziemię, buchnął deszcz zielonych iskier.

— Ciężki ogłuszacz — wyjaśnił Makvern. — Kiedy któryś z nich cię trafi, nie będziesz mógł się ruszać, dopóki nie zakończy się bitwa.

Znowu zaczęli biec, schylając się nisko i kryjąc się między dziwacznymi domami o okrągłych dachach.

— Czy one nie zabijają? — zapytał Wyatt.

— Niezbyt często. Bardzo starych, małe dzieci, inwalidów. Są humanitarne, jak na broń.

Kolejny biały promień skwierczał tuż za Whitfieldem, wybuchając zielenią w miejscu, w które uderzył. Czerwona kula wznosiła się nad nimi na tle nieba, groteskowo wyglądając jak wielki, okrągły czworonóg z absurdalnie małą główką na kołyszącej się cienkiej szyi.

— Nie sądzę — stwierdził Burdick — żebyśmy byli w stanie długo przed tym czymś uciekać.

Thurne obrzucił kulę spojrzeniem zranionej pantery i powiedział:

— Mogę poprowadzić was bezpieczniejszą drogą, jeśli będziecie w stanie biec na tyle szybko, aby przez jakiś czas utrzymać się przed nią.

— Damy radę — rzucił Makvern.

Pobiegli. Wyatt, Burdick i Whitfield, całą trójka pomyślała tym by pomóc Brinnie, tylko po to by się przekonać, że dziewczyna pędzi rączo jak jeleń, długimi, sprężystymi krokami. Biegli aż niemalże wypluli płuca, wyciskając z nich resztki powietrza, docierając w końcu do długiej kolumnady, ciągnącej się wzdłuż chodnika koło wielkiego budynku, pokrytego rzędami posągów tańczących bogów, które zdawały się niesamowicie podobać rodakom Thurne'a. Po szerokiej ulicy grupa ludzi ciągnęła w jakieś miejsce kolejną dziwną, małą armatę. Futro na ich ciałach zrobiło się ciemne i poznaczone było śladami potu. Kilku z nich porzuciło armatę i rzuciło się w stronę drużyny Makverna z obnażonymi zębami i pazurami, ale Thurne krzyknął coś do nich w ich języku i niechętnie się zatrzymali. Piątka ludzi, która została schwytana razem z

Thurnem, podbiegła natychmiast, aby dołączyć do tych z armatą, która po chwili oddała strzał w kroczącą kulę, zupełnie jej nie szkodząc. Thurne wskazał na szerokie, niskie drzwi i powiedział:

— Tędy.

Przecisnęli się przez nie. Rzucając okiem za siebie, w jaskrawym słońcu na zewnątrz, Wyatt zobaczył na ulicy błysk zielonego ognia. Artylerzyści upadli, a małe działko ucichło.

W środku, dla kontrastu, było dosyć ciemno, było to wielkie sklepione pomieszczenie tak pełne rzeźb i cieni, że przez chwilę lub dwie nie potrafił stwierdzić, czy jest w nim jakaś żywa istota, czy nie. Potem dotarły do niego odgłosy oddechów i ruchu, szloch małych istotek, szepty. Jego oczy przyzwyczaiły się do przyćmionego światła i zobaczył, że miejsce to było pełne kobiet i dzieci, skulonych wzdłuż ścian po obu stronach oraz poukrywanych we wnękach, które jak przypuszczał były kapliczkami, ponieważ widać było w nich duże, ozdobne posągi oraz niewielkie lampki. Dzieci, zwłaszcza te bardzo małe, wyglądały jak odrobinę większe kocięta.

Makvern stwierdził:

— Widzisz te posągi i ozdoby na ścianach? Wszystko to jest ze złota, a kamienie szlachetne też są prawdziwe, co do jednego. Kiepskie miejsce do szukania schronienia przed rabusiami.

Rozjarzone, pełne furii oczy kobiet przyprawiały Wyatta o dreszcze. Przez całą drogę zrywały się i wybiegały ku nim z błyszczącymi białymi zębami i wysuniętymi pazurami. Gdyby nie Thurne, zostaliby rozerwani na strzępy w ciągu kilku sekund. Wyatt był szczęśliwy, gdy dotarli na drugi koniec budynku i ponownie wyszli na światło słoneczne i odgłosy ostrej bitwy.

Czerwone kule krążyły teraz wszędzie, ich potworne kształty widoczne były ponad dachami domów lub między wieżami większych budynków. Obrońcy zostali pozbawieni przytomności lub zepchnięci z powrotem do serca miasta, a wojska Uryx znajdowały się już na odleglejszych ulicach, rozpoczynając systematyczną akcję plądrowania Obran.

Jedna z kul właśnie przeszła ulicą, pozostawiając za sobą stosy oszołomionych ciał wyglądających niemal dokładnie jak martwe, ale żołnierze jeszcze nie pojawili się w polu widzenia. Po drugiej stronie znajdował się kolejny ogromny, rzeźbiony budynek. Pobiegli w jego kierunku, a załoga obsługująca oddalającą się kulę nie dostrzegła ich na czas, aby wystrzelić.

Ten budynek był w środku lepiej oświetlony, chociaż znajdowało się w nim równie dużo rzeźb, złoceń i posągów, co w poprzednim. To był ewidentnie szpital. Niektórzy pacjenci zaczęli krzyczeć na widok obcych, a sanitariusze zagrodzili im drogę. Po raz kolejny autorytet Thurne'a pozwolił im przejść – prawie. Tym razem, gdy docierali już do wejścia na drugim końcu, do środka wkroczyła grupa żołnierzy Varseka.

Było ich ośmiu lub dziewięciu z ogłuszaczami w ręku. Spodziewali się kłopotów, ale niczego z czym nie mogliby sobie z łatwością poradzić, zaś pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli w napotkanej w środku grupie, były mundury Makverna i jego oficerów. Ich dowódca zasalutował, a robiąc to,

dostrzegł uzbrojonych Ziemian oraz uzbrojonego mieszkańca Alfy Centaura, i powiedział z nagłym niepokojem do swojej drużyny:

— Uważać, to są ludzie z…

Nie doszedł dalej. Ogłuszacz Makverna powalił go na podłogę, a potem zaczął strzelać Wyatt, podobnie jak i pozostali. Rozpętała się krótka, ale gwałtowna burza trzasków wyładowań, a kiedy ustała, siedmiu żołnierzy floty leżało na podłodze, zaś dwóch uciekło za drzwi. Whitfield, Bezimienny i dwóch oficerów również dostało. Podobnie jak i Thurne.

Odtąd byli zdani sami na siebie.

— No cóż — polecił ponuro Makvern, — zabierajmy ich i wynośmy się stąd.

Wyatt zarzucił sobie na ramiona Bezimiennego, zaś Burdick poniósł Whitfielda, ciągnąc za sobą jego długie nogi. Zostawili Thurne'a tam, gdzie leżał, z jego własnymi rodakami. Zataczając się pod ciężarem, ruszyli do drzwi. Po chwili Brinna powiedziała:

— Lepiej mi też dajcie broń.

Makvern pokręcił głową.

— Nie rozumiem, czego się boisz — powiedziała. — Wiem, że mnie nie zabijesz i wiem także, że Varsek zrobiłby to od razu. Nie uwierzyłby w ani jedno słowo z moich wyjaśnień, których mogłabym mu teraz udzielić.

Makvern wahał się przez chwilę, po czym się zgodził:

— W porządku. Weź sobie któryś z należących do nich.

Brinna wzięła jeden z ogłuszaczy i cała grupa ostrożnie wyszła na jasne światło słońca.

Po opuszczeniu budynku znaleźli się w pobliżu narożnika szerokiego placu. W ich kierunku na teleskopowych szczudłach nóg kroczyła kula, która wyłoniła się z ulicy po prawej stronie. Za nią pieszo podążali żołnierze. W pobliżu narożnika placu, widać było miejsce gdzie uderzyły wiązki wyładowań, leżały tam przewrócone armaty i nieprzytomni ludzie. Inni ludzie uciekali przez plac, a ich twarze były na wpół oszalałe z gniewu, strachu i bezradności.

Makvern wskazał na wylot ulicy położony naprzeciwko, po przekątnej placu.

— Oto nasz cel. Nasze statki powinny być już niedaleko, jeśli…

Wyatt myślał, że powie, że jeśli akcja Drugiej Partii zakończyła się sukcesem. Ale nie zrobił tego. Lepiej było o tym nie wspominać, nie teraz.

Wybiegli na plac, ciężcy i powolni z brzemieniem na plecach.

Po raz kolejny mieli szczęście. Schowali się za róg, zanim załoga kuli zdążyła do nich wystrzelić, a potem osłoniły ich budynki. W powietrzu unosiła się mgiełka kurzu i dymu. Dziwne wysokie wieże, zdobione mnóstwem rzeźb, zdawały się falować jak rzeczy widziane przez warstwę wody. Bogowie i boginie niemalże wydawali się poruszać, tańczyć i uśmiechać się z zawziętą, groteskową godnością.

Część z uciekających mieszkańców Alfy Centauri, zobaczyła ich i zawróciła.

Mieli broń podobną do bardzo prymitywnych pistoletów i długie, ostre noże. Ci z pistoletami zatrzymali się, żeby je załadować. Pozostali zaatakowali. Z ulicy za nimi, dobiegał miarowy brzęk zbliżającej się kuli.

Wyatt wystrzelił. Nikt z nich się nie zatrzymał, nie odważyli się, bo kula była gorszym wrogiem od tych futrzastych ludzi. Strzelali więc w biegu, i część z atakujących ich mieszkańców Alfa Centauri padła pod ogniem ogłuszaczy, reszta zaś zawróciła, czekając na pozostałych, którzy ładowali swoje pistolety. Wyatt sapał ciężko, uginając się pod ciężarem Apacza. Wylot ulicy był już blisko. Brinna i ci z ludzi, którzy nie nieśli swych towarzyszy, pozostali nieco w tyle, aby osłonić resztę. Ich ogłuszacze trzaskały raz za razem. Jeden lub dwóch futrzastych ludzi upadło, po czym rozległy się ostrzejsze trzaski i któryś z oficerów Drugiej Partii zatrzymał się i popatrzył ze zdumieniem na dziurę w brzuchu, z której zaczęła płynąć krew. Kula uderzyła w pobliżu stóp Wyatta i zrykoszetowała po kamieniach. Inne odbijały się od murów.

Makvern krzyknął do nich, żeby się pospieszyli, omiatając mieszkańców Alfa Centauri ciągłą wiązką z ogłuszacza. Brinna pomogła rannemu człowiekowi, na wpół go niosąc i strzelając miarowo z wolnej ręki. W tej chwili stosunek Wyatta do niej, bardzo złagodniał.

Wpadli w wylot ulicy. Niemalże w tej samej chwili krocząca kula wyszła zza rogu placu. Jej ciężkie emitery zajęły się mieszkańcami Alfy Centauri, co zadziałało na korzyść grupy Makverna. Co prawda korzyść ta była w mniejszym lub większym stopniu wymuszona. Prawdopodobnie zaraz kula ruszy także ich śladem, ale na razie ulica przed nimi była pusta i niedaleko widać było jej zakręt, który da im kolejną ochronę.

Zataczając się, brnęli więc dalej, w kurzu i gorącym słońcu. Pokonali zakręt i Wyatt zobaczył krótki rząd małych domków, a nad nimi wysokie, niezbyt odległe kształty statków.

Przez chwilę myślał już, że są bezpieczni, że im się udało. Ale potem zobaczył umundurowanych żołnierzy biegnących w ich stronę ulicą, całkowicie odcinających im drogę.

ROZDZIAŁ IX

Makvern ostro polecił:

— Wstrzymać ogień. To nasi.

Minęła chwila, zanim dotarło to do Wyatta, a do tego czasu ktoś zdjął z jego pleców dziesięciotonowy ciężar Bezimiennego i poprowadzono go ulicą, a następnie przez pola, w kierunku statków. Wciąż trwały tam jakieś walki – żołnierze Drugiej Partii zaatakowali szkieletowe załogi pozostawione po wylądowaniu floty, i paru z ludzi Varseka nadal odpierało ataki.

— Wkrótce oczyścimy teren do końca — wydyszał młody oficer, biegnący koło Makverna. Wyglądał, jakby przeżył ciężkie chwile. — Boże,

cieszę się, że pan się przedostał, panie kapitanie! Próbowaliśmy pana odnaleźć…

— Jak dobrze nam poszło? — spytał go Makvern.

— Mamy około jednej trzeciej floty. Miałem nadzieję…

— Tak — stwierdził Makvern. — Ja też. No cóż, jedna trzecia to i tak lepiej niż jedna czwarta lub jedna dziesiąta.

— Ale z trudem można uznać to za zwycięstwo — odparł stanowczo młody oficer. Wskazał na rozciągające się w oddali pola. — Proszę spojrzeć, panie kapitanie. Varsek ściąga część ludzi z powrotem na swoje statki. Może nas przyłapać na ziemi.

— Proszę posłać rozkaz natychmiastowego przygotowania do startu — oznajmił Makvern. — Czy to statek dowodzenia? Dobrze. Zabierzcie wszystkich na pokład, proszę dopilnować, aby ranni otrzymali odpowiednią opiekę. Potrzebuję… — przytoczył szereg nazwisk… — Natychmiast, na mostku…

Sprawy już wcześniej toczyły się w szybkim tempie. Teraz, pod wpływem rozkazów Makverna, popędziły wręcz w ekspresowym. Nikt nie zatrzymał Wyatta, więc poszedł za Makvernem na mostek. Nawet on rozumiał zagrożenie. Gdyby ciężkie jednostki Varseka zostały obsadzone na czas, aby zająć stanowiska ponad nimi, powstrzymano by ich, zanim jeszcze wyruszą.

Makvern poderwał swoje statki z ziemi.

Pomknęli z rykiem silników w niebo, a zanim jeszcze wydostali się z atmosfery, na ekranie komunikatora pojawiła się twarz Varseka.

Była wypełniona kamiennym i nieubłaganym gniewem, nie szaleńczą wściekłością, który wkrótce by się wypaliła, ale uczuciem głębszej, zimniejszej natury. Gniewem, który będzie trwać aż do czasu gdy ludzie uważani przez niego za wrogów, nie będą już stanowić zagrożenia ani dla niego ani dla nikogo innego.

— Czy myślisz, że teraz będziesz mógł tak sobie wrócić do domu, na Uryx? — spytał, patrząc na Makverna swoimi zimnymi oczami. — Możesz uciec przed flotą, ale nie przede mną. Jeśli wrócisz do domu, postawię was wszystkich przed sądem za dezercję. Nadal jestem twoim dowódcą, Makvern, i mam naprawdę potężnych przyjaciół.

— Którzy zarabiają na twoich łupach — odparł Makvern. — Tak, wiem. Pomyślałem, że uda nam się wymusić kilka zmian w Uryx, zanim wokół całej sprawy rozejdzie się zapaszek korupcji.

Varsek roześmiał się.

— Gdybyś miał całą flotę, pewnie byś dał radę. Ale z tą twoją garstką, nie… — Nachylił się bliżej w polu odbioru, tak iż wydawało się, że zaraz przejdzie przez ekran. — Posłuchaj, Makvern. Wykonałeś ruch i przegrałeś. Nie możesz ze mną walczyć, nie możesz wracać do domu ani nawet długo uciekać. Masz za mało statków zaopatrzeniowych. Masz za mało paliwa i jedzenia. Będziesz musiał sam zacząć rabować lub spróbować okraść mnie, i prędzej czy później dopadnę cię i unicestwię.

— Unicestwienie — powiedział powoli Makvern. — Wielkie i okrutne słowo. Ciekawe, jak się z tym będą czuli pańscy ludzie. Przez długi czas byliśmy towarzyszami i mamy spór z panem, a nie z nimi. Być może wielu

z nich ma tak samo dość tego życia jak my i chętnie by wrócili do domu, do rodzin, których nie widzieli od lat. Nie skrzywdziliśmy nikogo z nich, kiedy zabraliśmy te statki, i powitamy z otwartymi rękoma każdego, kto zechce do nas dołączyć, teraz lub później. Będziemy przez pewien czas kręcić się tu, po okolicy.

Wyatt wiedział, że Makvern mówi nie tylko do Varseka, ale do wszystkich ludzi, którzy będą słuchać tego przekazu, w całej flocie. Szło mu całkiem nieźle, ale Wyatt nie sądził, aby ta rozmowa mogła mu się na wiele przydać.

— Jeśli to ma być wyzwanie — oznajmił Varsek — to je przyjmuję. Moje plany nie ulegają zmianie. Kiedy tylko skończymy tutaj, udajemy się na Ziemię, a potem do tego z układów, który będzie oferował najlepszą zdobycz. Nie spieszy mi się, Makvern. Mogę lecieć tak dalej, w nieskończoność. Uczep się mojej nogawki i licz sobie na dezerterów tak długo, jak tylko zechcesz. Wcześniej czy później… — opuścił rękę w geście cięcia — …zniszczę cię.

Jego spojrzenie przesunęło się z Makverna na Wyatta.

— Dwukrotnie cię ostrzegałem — powiedział, — co do losu odważnych, upartych ludzi. Niezależnie od tego, czy zostaniesz z Makvernem, czy wrócisz na Ziemię, znajdę cię. I dzięki tobie poświęcę Ziemi trochę więcej uwagi – w razie potrzeby mamy także broń, która zabija. — Raz jeszcze się uśmiechnął, i teraz jego spojrzenie obejmowało zarówno Wyatta jak i Makverna. — Wiem, że Ziemia zostanie ostrzeżona. Przyjmuję to do wiadomości.

— Może pan stracić wielu ludzi — ostrzegł go Wyatt. — Nie jesteśmy tak prymitywni jak mieszkańcy Alfy Centauri.

— Macie broń nuklearną — stwierdził Varsek, — ale nie macie środków do przenoszenia jej do nas, w kosmos. A ludzie zwykle wahają się przed zrzucaniem bomb na swoje miasta, aby zniszczyć najeźdźcę, który znalazł się tam tylko tymczasowo. Tak więc twoje ostrzeżenia w ogóle nie robią na mnie wrażenia.

— Mamy też broń taktyczną — zauważył Wyatt. — A może nie powiedział pan tego swoim ludziom?

— Moi ludzie to żołnierze — oświadczył Varsek, — nie dzieci. Leć do domu, Wyatt. Podnieś alarm. I zabierz ze sobą Brinnę. To był jej plan, prawda? Ostrzec Ziemię, i tym samym wysadzić mnie z siodła. — Jego głos uniósł się do poziomu wrzasku i miało się wrażenie, że wykrzykuje ostrzeżenia do całej floty. — Ale mnie nikt nie zdoła wysadzić! To moja Grupa Bojowa, dowodzę nią i będę dowodzić, dopóki przełożeni nie wezwą mnie do domu!

— To nigdy się nie stanie — powiedział ze znużeniem Makvern — dopóki statki z łupami będą napływać na Uryx, aby czynić ich bogatymi.

Przerwał połączenie – prawdopodobnie jeszcze nigdy tak się nie stało, aby ktoś jako pierwszy wyłączył Varseka. Zwrócił się do Wyatta i swoich oficerów.

— Wiele z tego, co powiedział Varsek, jest prawdą. Mamy za mało pożywienia i paliwa. Obie te rzeczy, możemy dostać na Ziemi, ale będziemy musieli to zrobić w pokojowy sposób. Proponuję, abyśmy zaoferowali pomoc w jej obronie – zmusimy Varseka do ostatecznej rozgrywki, umieszczając nasze statki między nim a Ziemią. Skoro i tak mamy zginąć w walce, to lepiej jeśli stanie się to teraz niż później, kiedy będziemy jeszcze słabsi i mniej zdolni do stawienia oporu. — Popatrzył na Wyatta, strasznie ponurym wzrokiem, i dodał: — My możemy przenosić broń nuklearną w kosmos.

Parę minut później niewielka flota Makverna, składająca się z szybkich niszczycieli i kilku lekkich statków zaopatrzeniowych, które mogły prześcignąć wolniej poruszającą się Grupę Bojową, weszła w hiper-napęd, kierując się na Ziemię.

I znów, standardowa procedura lądowania na świecie będącym celem ataku floty, została wykonana, tyle że w przeciwnych zamiarach. Nie mieli statku propagandowego, lecz gdy tylko dotarli do zewnętrznych granic ziemskiej atmosfery, Wyatt zaczął nadawać, zalewając zachodnią półkulę transmisjami z potężnego nadajnika statku. W kółko wysyłał tego samego rodzaju wiadomość, poczynając od: „Przybywamy w pokoju", poprzez podsumowanie sytuacji i kończąc prośbą do mocarstw, aby ich nie atakowały, kiedy będą lądować. Kazał przemawiać Burdickowi i Australijczykowi, Bezimiennemu, a nawet Turkmenowi. Kazał przemawiać Makvernowi.

Jednak kiedy nadeszła odpowiedź, pochodziła ona z rządowego radia w Waszyngtonie, zakazując im lądowania, dopóki nie przeprowadzi się konsultacji z ONZ oraz wstępnych rozmów z Makvernem, dla otrzymania należytych zapewnień co do ich zamiarów.

Potem z dużego nadajnika na płaskowyżu, przesłał mu wiadomość Bannister. Rozpoczynała się ona od słów „Co się z tobą do diabła działo, nie możesz mówić prawdy!". Wyatt zapewnił go, że mówi prawdę, a Bannister odpowiedział: „W takim razie, na litość boską, nie lądujcie. Wszyscy tu wpadli w panikę. Ewakuują Waszyngton i na każdym rogu zakładają stanowiska strzeleckie, a szaleńcy wyją ze szczęścia. Poczekajcie, dopóki wszyscy się nie uspokoją!"

„Staraliśmy się jasno przekazać" przekazał mu Wyatt, „że nie możemy czekać. Flota depcze nam po piętach i jeśli teraz nie zostaną poczynione odpowiednie przygotowania, będzie za późno dla nas wszystkich".

„No cóż" odparł Bannister ze smutkiem i bez cienia nadziei „powodzenia".

Postanowili wylądować.

Statek dowodzenia Makverna wylądował w jednym z parków w Waszyngtonie. Zdecydowali, że Makvern i Wyatt, opuszczą krążownik w kroczącej kuli, wraz z jednym człowiekiem do obsługi tego urządzenia. Nie wystarczało w niej miejsca na zabranie Burdicka ani innych Ziemian.

Brinna przez cały czas zachowywała ponure milczenie, ale teraz je przerwała, mówiąc z goryczą do Wyatta:

— Wiesz, że twoi rodacy panikują z powodu tego nagłego najazdu z kosmosu – zniszczą was, zanim w ogóle zdołasz się z nimi porozumieć.

— Będę musiał zaryzykować — stwierdził Wyatt.

— Tak jak musiałeś zaryzykować, aby mnie zmusić, bym cię zabrała do Waszyngtonu – jak dawno temu to było? — odparła Brinna. Dodała z nagłą zaciekłością: — Boże, broń nas przed pracą z głupcami!

Wyatt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jesteś zła, dlatego że zniszczeniu uległy twoje plany, czy dlatego, że jestem w niebezpieczeństwie? — Zanim zdążyła coś gniewnie odpowiedzieć, pocałował ją, odsunął z drogi i ruszył za Makvernem.

Wsiedli do czerwonej kuli i wyruszyli z krążownika. Potrzebowali pojazdu, nie do ataku, ale do obrony własnej. Nad nimi na niebie krążyła eskadra skimmerów, z łatwością wymykając się wolniejszym i bardziej niezdarnym ziemskim odrzutowcom. Utrzymywała się ona na tak niewielkiej wysokości, że samoloty obawiały się do nich strzelać, z obawy przed trafieniem własnych towarzyszy na ziemi.

Czerwona kula wkroczyła z hukiem do Waszyngtonu.

Bannister mówił prawdę. Miasto było opuszczone, za wyjątkiem żołnierzy. Obserwując 360-stopniowy ekran wewnątrz kuli, Wyatt zobaczył ludzi w brudno-oliwkowych mundurach strzelających do nich i usłyszał ostry stukot pocisków na płytach ich pancerza. Makvern zapewnił go, że jest on odporny na praktycznie wszystko, z wyjątkiem pocisków atomowych, ale kiedy pojawiły się działa przeciwpancerne i miotacze ognia, Wyatt zaczął się nieco denerwować i poczuł zadowolenie, gdy Makvern postanowił nie ryzykować starcia z nimi. Rozkazał wysunąć jeden z ciężkich ogłuszaczy i poprosił o wsparcie skimmerów. Następnie przekazał radio Wyattowi.

Na ekranach wszędzie dookoła pojawiły się wybuchy zielonego ognia, w miejscach, w których padały strzały ogłuszaczy. Załogi dział zostały pozbawione przytomności, żołnierze z karabinami ogłuszeni lub zmuszeni do wycofania się. Wokół kuli wytyczony został obszar ciszy, przemieszczając się wraz z nią, w miarę jak się poruszała, nieustannie przesuwany do przodu przez białe promienie ogłuszaczy.

Wyatt przemawiał z napięciem przez radio.

— Zmuszacie nas do obrony, ale przekonacie się, że ci ludzie nie są martwi ani w żaden sposób nie ponieśli krzywdy. Są tylko oszołomieni. Błagamy Prezydenta i Kongres o wysłuchanie…

Brak odpowiedzi. Wyatt otarł pot z czoła i mówił dalej.

— Stoicie przed wrogiem straszniejszym niż jakikolwiek, o którym śniliście w najgorszych sennych koszmarach. Zbliża się on do was przez przestrzeń międzygwiezdną z prędkością wielokrotnie większą od światła. Widzicie, co potrafimy zrobić, ale to tylko ułamek ich siły. Waszą jedyną nadzieją jest przyjęcie naszej oferty pomocy, zaplanowanie z nami, jak powstrzymać Grupę Bojową, zanim wyląduje ona na Ziemi. W przeciwnym razie będziecie mieli na karku setki takich czerwonych kul, terroryzujących

okolicę, i setki statków, przeciwko którym wasze samoloty będą bezużyteczne, tak samo jak teraz są przeciwko skimmerom.

Brak odpowiedzi.

Makvern spytał Wyatta:

— Musimy się gdzieś zatrzymać. To twój kraj – co sugerujesz?

Wyatt popatrzył na ekran. Znajdowali się przed budynkiem Sądu Najwyższego. Żołnierze strzelali do nich z podejść do budynku, schodów, portyku. Część z nich została już ogłuszona i leżeli na chodniku. Nawet kiedy przyglądał się sytuacji, biała wiązka wystrzeliła z emitera kuli i wybuchła zielonym ogniem wśród jednej z grup na schodach. Cierpliwość Wyatta, osłabiona długim okresem niepokoju, nagle nie wytrzymała.

— To miejsce będzie równie dobre, jak inne — powiedział Makvernowi, a potem krzyknął do radia: — No dobra, do diabła, jestem obywatelem amerykańskim i przybyłem tutaj w dobrej wierze. Nie popełniłem żadnego przestępstwa i nie rozumiem, dlaczego miałbym kryć się i kulić na ulicach mojej własnej stolicy, które zostały opłacone z moich podatków. Więc wychodzę z tej kuli bez broni, a jeśli jakiś cholerny głupiec mnie zastrzeli, to później będzie musiał wziąć to na własne sumienie.

Wstał i rzucił się do Makverna.

— Otwórz właz. I schowaj ogłuszacz.

— Brinna miała rację, oni wpadli w panikę — stwierdził Makvern. — Zabiją cię. Poczekaj jeszcze trochę.

Wyatt zaklął.

— Nie możemy czekać, teraz albo nigdy! Będą panikować, dopóki nie zobaczą, że jestem Ziemianinem, a nie jakimś potworem o wyłupiastych oczach, okłamującym ich przez radio. Wtedy będziemy mogli jakoś się z nimi porozumieć.

Makvern wahał się przez chwilę, po czym nacisnął przycisk. Klapa otworzyła się i wysunęła się z niej cienka drabinka.

Wyatt zaczął po niej schodzić na dół.

Schodził powoli. Dzień w Waszyngtonie był dosyć ciepły, ale jemu było zimno, jak w połowie grudnia. Ze strachu był mokry od potu i trzęsły mu się nogi. Żołnierze w bezpośrednim sąsiedztwie byli nieprzytomni lub ukryli się, ale bez wątpienia nadejdzie ich więcej. Miał nadzieję, że polowe punkty dowodzenia przekażą uzbrojonym żołnierzom jego radiową wiadomość.

Dotarł do stóp drabinki i stanął tam.

Zapadła głucha cisza. Potem żołnierz z karabinem ostrożnie okrążył jeden z filarów portyku.

Wyatt obserwował go, myśląc, że uniesie broń i strzeli do niego, i to będzie koniec.

Doleciał do niego głos tego człowieka, brzmiący piskliwie z powodu odległości i zaskoczenia.

— Hej, to człowiek. To człowiek. To jednak nie żaden potwór…

Z otwartego włazu kuli Wyatt usłyszał jak nadawany przez radio głos, mówi:

— Jeśli na znak dobrych intencji wycofacie swój… eee… pojazd powietrzny, nasi przedstawiciele przybędą…

Reszty Wyatt zbyt wyraźnie nie słyszał. Walczył z rozpływającą się po jego ciele ulgą. Nie tylko z powodu Ziemi, ale także ze swojego powodu.

Potem nie było to już takie trudne. Kiedy wielkie szychy zostały przekonane o grożącym niebezpieczeństwie oraz szczerości Makverna, wszystko udało się załatwić, pomimo biurokracji i uporu poszczególnych krajów. Niezwykle pomocne były zeznania Burdicka, Whitfielda, Apacza i Turkmena.

Statkom Makverna pozwolono zatankować paliwo i przekazano im zaopatrzenie. Ponownie wylecieli w kosmos, ale bez broni jądrowej na pokładach.

— To moi rodacy — powiedział Makvern. — Nie mogę jej użyć przeciwko nim.

Siły powietrzne świata zostały rozmieszczone jako druga linia obrony, skoordynowana z bateriami rakiet ziemia-powietrze oraz eskadrami samolotów przenoszących rakiety powietrze-powietrze. Na powierzchni ziemi, do działania przygotowywały się poszczególne armie.

Flota Varseka nadleciała, wielka ciemna strzała statków w świetle Słońca.

Po raz kolejny Wyatt znalazł się na pokładzie statku dowodzenia Makverna, na jego mostku. Działał wraz z innymi oficerami regularnych sił zbrojnych kilku narodów, jako oficer łącznikowy. Patrzył, jak dramatyczny klin statków zbliża się. W miarę zbliżania się, okręty floty po słonecznej stronie płonęły coraz jaśniejszym ogniem, aż ich brązowy blask stał się bolesny dla oka. I serce mu zamarło. To, co powiedział Varsek, było prawdą. Nic nie było w stanie stawić czoła tej flocie.

Jakby dla podkreślenia tej uwagi, na ekranie komunikacyjnym pojawiła się twarz Varseka.

— Więc to tutaj zdecydowaliście się ze mną zmierzyć — powiedział. — Dobrze. Och, naprawdę doskonale!

— Może doskonale — odparł Makvern. — A może nie. Ziemia została ostrzeżona, Varsek, a teraz ostrzegam pana i każdego człowieka we flocie. Jej mieszkańcy posiadają potężne uzbrojenie, w tym urządzenia wodorowe, i są gotowi ich użyć. Mogą zabić wielu z was zanim zostaną pokonani.

— A kto ostrzegł Ziemię? — rzucił Varsek. Wyatt wiedział, że obaj mówią w równym stopniu do floty, jak i do siebie nawzajem. — Ty, Makvern. To akt zdrady. To ty będziesz odpowiadać za każdego człowieka, którego tu stracimy!

— Wcale nie — zauważył cicho Makvern. — Wie pan, jaka jest sytuacja. Jedyne, co musi pan teraz zrobić, aby uniknąć strat, to wycofać flotę z Ziemi nie atakując jej.

— Mam podkulić ogon i uciekać? — oznajmił Varsek. — Powinieneś znać mnie lepiej.

Nagle głos Makverna zapłonął zaciekłością, rozpalony do białości zastarzałą wściekłością.

— Znam pana, Varsek! Poświęci pan każdego człowieka we flocie, zanim przyzna się pan, że został pokonany. Pamiętajcie o tym, wy tam, kiedy ten człowiek rozkaże wam walczyć! Spróbujcie pomyśleć, o prawdziwych powodach, dla których każe wam atakować, a potem zastanówcie się, czy uważacie, że warto za nie umierać! Jeśli nie…

Zagłuszył go potężny głos Varseka.

— To jest ogólny rozkaz do wszystkich w Grupie Bojowej. Na stanowiska bojowe, cały personel. Oficerowie dowodzący eskadr niszczycieli Trzy, Cztery i Pięć przystąpią do lądowania zgodnie z planem.

— Słyszeliście swojego dowódcę — warknął Makvern. — Schodźcie na dół i umierajcie za niego, za jego ambicje i grube kieszenie jego przyjaciół, jeśli chcecie. Jeśli tego nie chcecie, wycofajcie swoje statki z formacji i dołączcie do nas. Wtedy wszyscy będziemy mogli wrócić do domu.

— Pierwsza i druga eskadra niszczycieli — grzmiał nieubłaganie głos Varseka — zaatakują natychmiast wrogie statki, działając według własnego uznania. Użyć uzbrojenia Typu Drugiego – tych zdrajców trzeba zniszczyć!

Tym razem to Varsek przerwał kontakt z Makvernem i wyglądało to tak, jakby tym gestem ogłosił, że wszyscy zginęli.

— I co? — powiedział z napięciem Wyatt.

— Bóg jeden wie — odparł Makvern. Zaczął wydawać rozkazy, przygotowując swoje statki do walki, jak tylko mógł.

Wyatt wycofał się w róg pomieszczenia i znalazł tam Brinnę. Patrzyła na przygotowania na pokładzie i ruchy floty fachowym, zaciekawionym i sfrustrowanym spojrzeniem. Świadomość porażki jej ambitnych planów niewiele ją zmieniła, pomyślał Wyatt.

— Gdybym tylko ja miała tutaj komendę… — wycedziła przez zęby.

— Nawet gdybyś ją miała, nie sądzę, żebyś była w stanie zmienić przekonania ludzi we flocie — zauważył. — Być może nawet Makvernowi nie udało się ich przekabacić…

Nie wyglądało na to, żeby mu się udało. Grupa bojowa rozdzielała się na uporządkowane segmenty, a ciężkie statki szturmowe ustawiały się na pozycjach za ekranami swoich niszczycieli, gotowe do gwałtownego nurkowania w stronę Ziemi. Ponadto ze swoich stanowisk po obu stronach przedniego skraju floty, dwie eskadry niszczycieli skoczyły w stronę statków Makverna.

— Uzbrojenie Typu Drugiego — zapytał Wyatt — ma charakter śmiertelny, jak sądzę? Żadnego uprzejmego ogłuszania ofiary, tylko stare dobre, uczciwe zniszczenie?

Brinna skinęła głową, nieświadomie zacisnęła dłoń na jego ręce.

Makvern stał zgarbiony jak buldog w przedniej części mostka, wyrzucając z siebie kolejne rozkazy.

— Trzymaj się — powiedziała Brinna. — Ruszamy.

Ruszyli, z rykiem silników prosto w górę, usiłując dostać się ponad nadciągające niszczyciele. Wyatt dostrzegł, że część statków leci z nimi do góry, podczas gdy inne opadały niżej i krążyły. Próbowali jakiegoś manewru w rodzaju wzięcia w kleszcze, ale eskadry niszczycieli też były doświadczone w tego rodzaju zabawie. Poruszali się naprzeciw nieprzyjaciela z prędkością błyskawicy. Wyatt nie widział żadnego przeszywającego kosmos pocisku, ale nagle nastąpił bezgłośny rozbłysk ognia, jak narodziny małego słońca, i jeden ze statków Makverna przestał istnieć w czasie, w którym Wyatt zaledwie zdążył mrugnąć okiem.

— Tak mi się wydaje — potwierdziła Brinna spokojnym głosem, — pierwszy raz w życiu, widziałam pociski Typu Drugiego w użyciu, poza strzelnicą testową.

Na mostku zapadła pełna oszołomienia cisza. Potem statek znowu był w ruchu i ktoś zaczął krzyczeć:

— Popatrzcie na ich formacje! Niektóre statki Varseka wycofują się…

— Ognia! — rozkazał Makvern, i statek dwukrotnie zadrżał.

Białe wiązki oszałamiające wystrzeliły i uderzyły w ciemną żelazną burtę, z rozbłyskiem zielonego ognia. Odrzuciły wrogi statek, który bezwładnie koziołkował – Wyatt założył, że te promienie są wystarczająco silne, by pozbawić przytomności nie tylko ludzi, ale także zniszczyć delikatny sprzęt elektryczny.

— Wycofują się! — zawołała Brinna. — Odlatują w kosmos. Spójrz!

Zobaczył, że uporządkowane formacje floty Varseka nagle się rozpadły, niektóre statki naprawdę opuszczały szeregi, a inne pozostawały w tyle, jakby się wahały.

— To ten pocisk - powiedział Brinna. — Widok jednego z naszych własnych statków, pełnego ludzi których znali, który został zniszczony w taki sposób – myślę, że to musiało ich wszystkich zszokować, tak jak i mnie.

Na ekranie pojawiła się twarz mężczyzny, biała i pełna napięcia.

— Makvern — oznajmił. — Znasz mnie… Shannar, dowódca Pierwszej Eskadry. Wycofuję się… to jest morderstwo…

Pojawiła się twarz Varseka, nałożona na Shannara, tworząc widmowy podwójny obraz.

— Masz wykonać otrzymane rozkazy! Zniszcz…

— Do diabła z tobą — odparł Shannar. — Jestem żołnierzem, a nie katem.

Zniknął, a na obraz Varseka nałożyła się inna twarz.

— Ja też. Po tym do czego nas doprowadziłeś, Druga Eskadra odlatuje.

Teraz na ekranie pozostała wyraźnie widoczna twarz Varseka, a w kosmosie kolejne ciemne statki wykonywały zwrot i dołączały do tych, które gromadziły się za siłami Makverna.

Varsek, z twarzą wykrzywioną szaloną wściekłością, krzyczał:

— Rozkazuję dowódcy każdego statku, aby kontynuował przydzielone mu obowiązki! Jeśli odmówi, upoważniam każdego oficera w jego strukturze dowodzenia do przejęcia dowództwa, dopóki nie zostanie znaleziony choćby jeden lojalny człowiek. Rozkazuję! Przygotować się do

lądowania. Sam zniszczę Makverna, jeśli nikt z was nie ma na tyle odwagi, by to zrobić.

A ogromne cielsko okrętu flagowego ruszyło z miejsca, w którym wisiał on w kosmosie, nabrało prędkości i uderzyło na statek dowodzenia Makverna jak młot ostatecznej zagłady.

— Musiał wypełnić okręt flagowy swoimi najbardziej zaufanymi oficerami — stwierdziła Brinna.

Ignorując wszystkie inne statki w kosmosie, ogromny statek rzucił się na nich.

Makvern przemówił do komunikatora.

— Nie sądzę, żeby pan do końca rozumiał swoje położenie, Varsek. Sytuacja się zmieniła. Pozostaje pan obecnie w dość dużej izolacji. Dosyć już było zabijania. Niech pan się podda, a dopilnujemy, aby miał pan sprawiedliwy proces na Uryx.

— Zginiesz tutaj, więc nigdzie nie polecisz — warknął Varsek. Zaczął rozmawiać z innymi, którzy najwyraźniej byli razem z nim w pomieszczeniu, poza zasięgiem komunikatora. — Dlaczego, u diabła, flota nie rusza naprzód? Rozkazałem im. Przekazać im ponownie rozkazy i przygotować pocisk Typu Drugiego – na co czekacie?

— Panie komandorze — odezwał się jakiś inny głos — czy zwrócił pan uwagę na rozmieszczenie eskadr niszczycieli?

— A co z nimi?

— Są między nami a celem. Wszystkie. Dowódcy proszą pana o poddanie się. Mówią, że nie pozwolą na kolejne użycie broni Typu Drugiego na ludziach z Uryx.

Varsek odezwał się do komunikatora.

— Zejść z drogi — zawołał. — Zaatakuję i was zniszczę. To ja dowodzę tą flotą. — Wyciągnął broń boczną z kabury i odwrócił się. — A co do ciebie… myślałem, że jesteś wobec mnie lojalny. Sam cię wybrałem i tak mi się odpłacasz! Rozkazuję ci przygotować pocisk…

Twardy głos powiedział:

— Tym razem posunąłeś się za daleko, Varsek. Pozostałeś sam przeciwko całej flocie. Byliśmy lojalni, ale ty nie jesteś już naszym dowódcą.

Promień ogłuszający trafił Varseka od tyłu, zanim zdążył się odwrócić. Upadł gdzieś poniżej punktu skupienia ekranu, a jego twarz zastąpiła twarz innego człowieka.

Mężczyzna ten oznajmił:

— Varsek się poddaje.

Na statku dowodzenia zapadła długa cisza. Potem ludzie wokół nich zaczęli wiwatować, a z komunikatorów dobiegały głosy radości innych. I tylko Makvern odwrócił się, aby nikt nie mógł dostrzec wyrazu jego twarzy.

Później, po tym jak Makvern przemówił do floty przejmując stanowisko dowódcy, powiedział do Wyatta:

— W tym miejscu się rozstaniemy. Wracamy do domu, by położyć kres tym grabieżom i rozbojom – nadszedł czas, aby Uryx dorósł i stał się Imperium, z którego można być dumnym, a nie gniazdem wyjętych spod prawa bandytów. Ty też możesz wracać do domu, wiedząc, że Ziemia będzie spała bezpiecznie tej nocy.

Brinna wystąpiła do przodu.

— A co ze mną?

— Mam co do ciebie odpowiednie plany — rzekł surowo Makvern. — Dowiesz się o nich w odpowiednim czasie.

Wyatt uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

Później nie miał nawet szansy aby coś powiedzieć, do chwili gdy statek nie wylądował na pustyni w pobliżu płaskowyżu, a Makvern i Brinna po raz ostatni uścisnęli mu dłonie, stojąc na chłodnym piasku, w świetle księżyca, u podnóża drabinki statku. Makvern wszedł po niej tak szybko, w czasie gdy Brinna była zajęta swoimi pożegnaniami, że nie zdawała sobie sprawy, iż znalazł się już w śluzie, drabinka została wciągnięta, i było już za późno, aby za nim pójść. Popatrzył na nią z góry, uśmiechnął się i powiedział:

— Wydawało mi się, że to będzie najlepsze rozwiązanie twojego problemu, Brinna. Minie sporo czasu, zanim Ziemianie wyruszą w kosmos, a wtedy będziesz już za stara, aby sprawiać kłopoty, a ja będę za stary, aby się tym przejmować.

— To znaczy, że mnie tutaj zostawiasz? — wrzasnęła.

— Pod opieką Wyatta, odważnego i upartego człowieka. Do widzenia. A teraz zmykajcie stąd, startujemy.

Wyatt odciągnął chwilowo oniemiałą Brinnę na bezpieczną odległość. Patrzyła, jak statek wzbija się w rozgwieżdżone niebo i Wyatt nie śmiał jej nic powiedzieć.

Nie był wcale pewien, czy zawarł dobry interes. Ale był zdeterminowany, aby jak najlepiej to wykorzystać.

Zaczął od pocałowania jej.

Po kilku dłuższych chwilach, przestała walczyć.

KONIEC